Nr. 39. Kraków, dnia 25 września 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

# Wzajemne zobowiązania.

Powodzenie zobowiązuje. Ale silniej stanowczo zobowiązuje zaufanie szerokich kół społeczeństwa i opinii publicznej. Powodzenie zobowiązuje i podnieca do bardziej wytężającej i bardziej doskonałej, bardziej zadowalającej roboty; zaufanie zaś zwiększa odpowiedzialność pracownika i poczucie ważności podjętej pracy dla ogółu.

Występuje to nieustannie w życiu prywatnem i publicznem, ale silniej jeszcze występuje w życiu pisma, będącego faktycznie pośrednikiem pomiędzy jednostką a całem społeczeństwem. Przez pismo przelewa się całe współczesne życie kulturalne i gospodarcze narodu; przez nie krystalizują się poglądy i opinie ogółu na najrozmaitsze zagadnienia, jakie nasuwa i życie i nauka.

O ile pisma codzienne chwytają przedewszystkiem chwilę, dzień, życie bieżące, nie mając poprostu czasu na przetrawienie i przemyślenie wypadków, o tyle czasopisma: tygodniki i miesięczniki mają to udogodnienie, że mogą istotnie dawać rzeczy i sądy po lepszem opracowaniu i namyśle głębszym. Z tem jednak łączy się kwestya inna: nadmiar materyału, konieczność należytego przejrzenia materyału i wybór tych rzeczy, co mają wartość największą i największe budzą zainteresowanie.

Nasz TYGODNIK NARODOWY obok tych utrudnień ma inne także, które niejako stały już u kolebki: Zadanie pisma i jego rozmiar. Reprezentujemy w Galicyi nowy typ pisma: jako *pismo rodzin polskich,* przeznaczone dla *wszystkich,* TYGODNIK NARODOWY, chcąc spełnić swe zadanie, musi ogarniać *całokształt* naszego *życia;* w TYGODNIKU znaleźć swe miejsce musi *wszystko.* Każdy: czy najbardziej wykształcony czy dopiero zdobywać wykształcenie zmuszony, bez względu na wiek, stan, zawód, znaleźć musi coś, co jemu *odpowiada* i jest dla niego *potrzebne.* — Równolegle z tak szerokiem zadaniem pisma iść musi jego rozmiar. TYGODNIK daje 32 stron druku dużego formatu. Jest faktem, że *nie było i niema* w Galicyi żadnego pisma, żadnego tygodnika, któryby mógł iść w porównaniu co do objętości z TYGODNIKIEM NARODOWYM. — Dodajmyż do tego tę okoliczność, że pismo nasze przynosi co tygodnia 4 do 5 artystycznie wykonanych rycin, że stale daje 3 lub 4 powieści oryginalnych lub przekładów, — a mamy mniej więcej obraz, ile pracy, wysiłków i kosztów pochłania wydawnictwo.

Reprezentujemy w Galicyi typ nowy. Człowiek na ogół do nowości, choć go ona interesuje, przyzwyczaja się z trudem. TYGODNIK NARODOWY może o sobie z dumą powiedzieć, że od początku zyskał w społeczeństwie grunt silny i mocne podstawy.

Prasa polska zjawienie się nasze powitała szczerze i sympatycznie, a dzisiaj coraz bardziej liczą się z naszą opinią, cytując zdania TYGODNIKA, jako pisma szczerze narodowego, katolickiego a niezależnego. Coraz częściej spotykamy się z wzmiankami w pismach polskich, dowodzącemi, że intencye nasze zrozumiano trafnie. Żeby nie operować ogólnikami, przytoczmy głos np. „Słowa Polskiego“:

Wychodzący od Nowego Roku w Krakowie nowy tygodnik popularny umiał zyskać sobie w kraju zasłużone wzięcie. Wzorowany na analogicznych wydawnictwach poznańskich „Tygodnik Narodowy“ przedstawia typ pisma, dotąd u nas nieznany. Obliczony na jak najliczniejsze sfery „Tygodnik“ nie zasklepia się w jednej dziedzinie, ale ogarnia całe życie społeczne, intelektualne i naukowe i przedstawia je w sposób popularny. Obok więc zagadnień społecznych chwili bieżącej, oświetlanych ze stanowiska ogólno narodowego, znajdujemy tutaj notatki literackie i wspominki historyczne, obok pogadanek z dziedziny przyrody znajdujemy rozprawki krajoznawcze, obok działu kobiecego — dział dla dzieci, a jest jeszcze miejsce

na kącik humorystyczny. Dodajemy do tego, że „Tygodnik“ drukuje stale 3 powieści lub nowele — a będziemy mieli obraz treści, jaką każdy numer przynosi; nadmienić jeszcze należy, że dzięki troskliwej redakcyi, każdy numer stanowi osobną całość, pomieszcza 4 lub 5 rycin, a obejmuje 32 stron druku dużego formatu. Nizka nadzwyczaj przedpłata (2 kor. 40 hal.) czyni pismo to dostępne wszystkim, a przedewszystkiem nadaje się naszym stowarzyszeniom kulturalnym i towarzyskim, jak wogóle rodzinom, których nieodłącznym przyjacielem stanie się niechybnie.

Tak przychylna opinia zobowiązuje. Nas zniewala do pracy dalszej i dalszego rozwoju pisma, ale zobowiązuje także Czytelnika, który widząc, z jakim nakładem energii i pracy prowadzi się to wydawnictwo dla dobra ogółu — ma obowiązek stać się szermierzem wyznawanych i szerzonych idei, a TYGODNIK sam rozszerzać w kołach znajomych.

TYGODNIK nie zawahał się podjąć obecnie szerokiej dyskusyi o naszem społeczeństwie. Są w niej niechybnie rzeczy bardzo przykre i bardzo bolesne: czynimy to jednak z głębokim przeświadczeniem, że prawda sprawie publicznej nieszkodzi wcale, ale życie oczyszcza i odświeża. A chociaż narazimy się nieraz na przytyki i zarzuty rozliczne, nie obawiamy się wcale krytyki, wierząc w *słuszność* bronionej sprawy i *poparcie* naszych Czytelników.

Bo są zobowiązania i pisma i Czytelników.

---

# Święto grunwaldzkie na Bukowinie.

(Od osobnego delegata).

*Czerniowce,* 18 września.

Dziś obchodziliśmy tutaj święto grunwaldzkie, a jeżeli obchody złamania potęgi krzyżackiej miały doniosłe znaczenie na ziemiach rdzennie polskich, jako przeglądy sił, świadectwa jedności narodowej, to u nas, na kresach, znaczenie to podwaja się jeszcze i udanie się obchodu, oddźwięk jaki znajdzie wśród ogółu, jest realnym wskaźnikiem tego, czy giniemy, czy też jesteśmy i trwamy. Przebieg dnia wczorajszego dał każdemu z uczestników przeświadczenie, że sprawa nasza dobrze stoi, że można ze spokojem i nadzieją iść dalej. Na hasło uczczenia wielkiej pamiątki narodowej odezwali się wszyscy dali, dowód, że pamiętają, kim są i jakie ich zadanie na tej ziemi.

Już w sobotę zaczęli się zjeżdżać przedstawiciele polskiej narodowości z całego kraju. Wczoraj również przybyli posłowie Zamorski, ks. Kopyciński i dr. Halban; młodzież polska urządziła na ich przyjęcie wieczorem zebranie towarzyskie w Domu polskim.

W niedzielę rano tłumy zebrały się przed Domem polskim, leżącym jak wiadomo w centrum miasta. Stąd pryncypalnemi ulicami ruszył pochód za miasto, na boisko sokole.

Pochód nie byle jaki: w sprawnym porządku szło z górą 3000 ludzi, w tem przeszło 1000 włościan z całego kraju, przedstawiciele i delegaci 49 czytelń Tow. Szkoły ludowej.

Sokół czerniowiecki, śniatyński, wyżnicki wystawił 150 druhów.

Na boisku sokolem Msza polowa; odprawił ją ks. dr. Honorski, podniosłe kazanie wygłosił ks. Łukasiewicz. Po kazaniu i zakończeniu nabożeństwa, zabiera głos poseł Zamorski, mówiąc o dziejowych skutkach Grunwaldu; „dąb grunwaldzki“ zasadzony przez ks. Kopycińskiego będzie trwałą pamiątką dzisiejszego dnia. Pochód ruszył w tym samym porządku z powrotem do Domu polskiego, na odsłonięcie tablicy pamiątkowej, wmurowanej nad bramą wjazdową Domu.

Tu zabiera głos prezes Domu polskiego pan Kwiatkowski; mówił o znaczeniu Grunwaldu w historyi Bukowiny, następnie odczytuje pozdrowienia, nadesłane na obchód.

Pierwszy telegram nadesłał prezes Koła polskiego dr. Głąbiński z Wiednia: „Ze szczerym żalem donoszę, iż narady ministeryalne z prezydyum Koła nie pozwoliły mi wyjechać do Was, aby wspólnie uczcić nasze święto. Wszystkim braciom miłującym Ojczyznę i dla niej pracującym przesyłam serdeczne pozdrowienie. Niech w Was i w Waszem potomstwie odrodzą się liczne rzesze rycerzy polskich, śpiących snem wiecznym w łonie waszej ziemi kresowej, aby inne narody, z Wami na tej ziemi zamieszkałe, pamiętały również o tem, że naród nasz broni jej przed wrogimi zapędami barbarzyńców i zasłużył sobie na poszanowanie i równouprawnienie.“ Telegram prezesa Koła polskiego wywołuje huczne oklaski. Dalej następują telegramy prezydyum miasta Krakowa, oraz kilku posłów usprawiedliwiających swoją nieobecność. Zasłona z tablicy pamiątkowej spada. Marmurową tablicę wmurowano nad wejściem do domu, obok obrazu Styki z hasłem „Czuwaj“. Na tablicy napis: „W 500 rocznicę pogromu Krzyżaków, ku pamięci złamania przemocy jednością, praojcom na cześć, potomności na wzór Kresy Jagiellońskie 18 września 1910 r.“ Przemówienie posła Halbana kończy uroczystość.



*Wojciech Kossak.*

Potyczka pod Młynarzami w 1831-ym roku.

# Bohaterowie.

Pojęcie „bohater" stopniowo ulega przeistoczeniu. Dawniej w czasach nieustannych prawie wojen, bohaterami nazywano ludzi dzielnych, odważnych, którzy z narażeniem własnego życia, nie zważając na niebezpieczeństwo, walczyli w pierwszych szeregach, zagrzewając do boju innych, pokonywali nieprzyjaciela i w ten sposób przysparzali ojczyźnie sławy i korzyści.

Z biegiem czasu, gdy surmy bojowe umilkły i zapanował niemal powszechny spokój — zabrakło tego naturalnego pola do zdobywania tytułu bohatera. Ale narody muszą zawsze mieć swoich wybrańców, swoich bohaterów. Zaczęły też ich szukać na innych polach. Z początku nauka, poświęcenie dla innych, odwaga, nieposzlakowany charakter itp. zalety stanowiły o tem, kto ma być nazwany bohaterem danego narodu, prowincyi, miasta.

Dziś wymagania zmiejszyły się znacznie: „bohaterem dnia" zostaje każdy, kto się okrył sławą, choćby sława ta niczem nie różniła się od Herostratowej. Byle linoskoczek, błazen lub atleta cyrkowy, o ile wybił się nad swych współkolegów — kreowany bywa przez gawiedź na „bohatera". Doszło do tego, że głośny uwdziciel kobiet, bandyta, morderca itp. w oczach tłumu wyrasta do wielkości bohatera. Taka to już natura ludzka — tłum musi mieć koniecznie kogoś, ktoby mu imponował czemkolwiek. I stąd ta niezdrowa pogoń za „bohaterami".

A jednak, gdybyśmy patrzyli na życie i świat nieco idealniej, gdybyśmy nie gonili za sensacyą, lecz oceniali czyny ludzkie ze strony etycznej — znaleźlibyśmy spory zastęp ludzi, zasługujących na miano bohaterów. Będą to wprawdzie cisi bohaterzy, nie szukający rozgłosu, nie chełpiący się ze swych czynów, nie mniej jednak zasługujący na cześć i uwielbienie.

Choćby taki Klimek Bachleda. Chłop to był tylko, prosty góral z Zakopanego, lecz zadatki na bohatera zawsze w piersiach swych nosił. Poznał swoje rodzinne Tatry, ukochał je niezmiernie i innym, przybywającym tu z dolin, aby podziwiać dziką i jednocześnie przepiękną naturę górską — za przewodnika służył. Miał z tego niewielki dochód, wystarczający na skromne utrzymanie siebie i rodziny. Podziwiano go nieraz, jak się piął po piargach i szczytach tatrzańskich, jak oprowadzał „taterników" tam, gdzie tylko kozica górska dotrzeć potrawi. A zawsze dbały o tych, którzy pod jego opiekę się oddali, zawsze gotowy swem życiem ich życie ocalić, czego wreszcie dał dowód przed niedawnym czasem.

Student Szulakiewicz ze Lwowa, badający niedostępne szczyty tatrzańskie, zaginął. Szukano go przez kilka dni. Wśród szukających był i Klimek Bachleda. Nie pomny na mgły i chłód dotkliwy, nie pomny na głód i wyzierającą z każdej rozpadliny śmierć niechybną — szedł Bachleda w te strony, gdzie spodziewał się znaleźć zagrożonego Szulakiewicza. Znając góry lepiej niż inni — podążał na przedzie, aż zginął z oczu tym, którzy razem z nim udali się na poszukiwania.

Po paru dniach znaleziono zimne zwłoki studenta Szulakiewicza i sprowadzono je w dolinę — a Klimka niema. Szukano go długo, bo tydzień cały, aż wreszcie ujrzano go bez życia z roztrzaskaną czaszką. W poszukiwaniu zaginionego studenta padł ze skały i życiem przypłacił.

Czyż to nie bohater? Wprawdzie cichy i mało znany, ale o wielkiej duszy i sercu zdolnem do poświęceń. Poszukawszy dobrze, podobnych ludzi znaleźlibyśmy sporo, ale tłum nie chce ich uznać za bohaterów, bo są cisi i mali, bo nie mają rozgłosu.

## JESIENIĄ.

*Żółte listki brzóz*
*Dygocą — dygocą,*
*Bo je dzisiaj nocą*
*Zważył siwy mróz.*

*I padają z drzew*
*Jak ulewa złota —*
*Po ziemi je miota*
*Zimny wiatru wiew.*

*Źle tym liściom — źle*
*Co zleciały z drzewa,*
*Wicher je rozwiewa*
*Na deszczu, we mgle.*

*Lecą z ostrym tchem*
*W zawieję okrutną —*
*Jak tym liściom smutno,*
*Ja najlepiej wiem....*

*Lucyan Rydel, 1897.*



Pierwszy interes.

## Dziecięca dusza.

Dusza dziecka to zagadka, na której rozwiązaniu polega sztuka wychowania!

Tak jak jeden liść chociażby z jednego drzewa, drugiemu nie podobny, tak się dzieje i z ludźmi. Każde dziecko ma swoją pewną właściwość, którą zbadać, należy do wychowawcy, a do tego potrzebną jest naturalnie: cierpliwość i — miłość. A z sercem matki, w którem prawdziwa i wielka miłość panuje, dzieje się tak jak z tą starą mateczką głuchą, o której opowiada poeta, że nie słysząc kroków dawno nieobecnego syna, powracającego z obczyzny, odczuła je, i rzuciła się do drzwi, by mu je otworzyć. Tak — kochającemu sercu matki, otwierają się tajemnice duszy dziecka, cudownym sposobem.

Myślmy zawsze o tem i starajmy się pojąć wrodzone właściwości naszych dzieci i kierować niemi w ten sposób, by się stały prawdziwie indywidualnemi istotami, a nie tuzinkowymi ludźmi. Starajmy się wpływem, jaki na nie posiadamy, nie stłumiać ich temperamentu, a tylko błędy tegoż usuwać, gdyż przytłumianiem temperamentu

przytłumiamy źródło osobistej wartości. W miejsce tresury zewnętrznej, jaką męczymy dziecko nieraz na równi z — — pieskiem grzecznym, starajmy się wpajać w dziecko takt wewnętrzny, ale w ten sposób, żeby umiało nim przejąć się i uważało nie jak mozolnie wyuczony, ale jak rozumiejący się samo przez się. Tylko tym sposobem możemy dać dzieciom naszym szczęśliwą młodość, swobodę ich naturalną utrzymać i właściwość ich i zalety rozwinąć w kierunku dobrym. Starajmy się kierować dzieckiem w ten sposób, by nie czuło tyranii wychowania, bo tylko pod łagodnym i umiejętnym kierunkiem czuje swą osobistą a wyrobioną dodatnio wartość.

# Obawa przed piorunem.

**Humoreska Marka Twaina.**

— Tak! mój panie — mówił pan Wiilliams — obawa przed piorunem jest jedną z największych chorób, jakie człowieka nawiedzają. Chorują na nią najwięcej kobiety, czasem małe psy, a często i mężczyźni. Jest to choroba ciekawa, a pozbyć się jej trudno. Kobieta, której się przywidzi dyabeł, albo mysz, traci spokój, gdy zaś huknie piorun, traci wprost przytomność.

Jakto już panu mówiłem, obudziłem się właśnie w chwili, gdy przytłumiony, bojaźliwy głos: „Mortimer! Mortimer!“ doszedł moich uszu. A skoro tylko trochę zebrałem myśli, pomacałem po ciemku i zapytałem: Czy jesteś Ewangelino? Co się stało? Gdzie jesteś?

— Zamknij alkowę. Powinieneś się wstydzić tak twardo spać podczas takiej burzy.

— Jakże się kto może wstydzić gdy śpi? To nielogiczne Ewangelino. Człowiek, który śpi, nie może się wstydzić.

— Mortimer!

— Na Boga! co się stało droga!

— Czemu nie chcesz powiedzieć, że jesteś w łóżku?

— Ale jestem, naturalnie, że jestem.

— Wyłaź natychmiast! Inaczej musiałabym sądzić, że ani mnie, ani dzieci nie kochasz.

— Ależ najdroższa!...

— Nie mów nic! Wiesz chyba bardzo dobrze o tem, że niema niebezpieczniejszego miejsca w czasie burzy jak łóżko. A ty leżysz, rzucasz dobrowolnie życie na pastwę tylko dlatego, że...

— Ależ uspokój się Ewangelino! Nie leżę już w łóżku! Już...

Mowę tę przerwała nagle błyskawica, od której dał się słyszeć krzyk pani Williams, a potem uderzenie pioruna.

— Tak! oto skutki! Ach! Mortimerze, jak możesz być takim bezbożnikiem i w takiej chwili przysięgać...

— Nie przysięgam! A to w każdym razie nie jest skutek. Gdybym i słówka nie wypowiedział, byłoby się to samo stało. Ty wiesz dobrze Ewangelino, a przynajmniej powinnaś wiedzieć, że gdy atmosfera jest przeładowana elektrycznością...

— Tak, tak! objaśniaj teraz objaśniaj. Nie pojmuję tego, jak ty o tem możesz mówić, skoro wiesz, że na domu niema konduktora, a twoja żona i twoje dzieci zdane są na łaskę losu. Co ty chcesz robić? świecić zapałkę w takim czasie? Czyś oszalał?

— Cóż u licha, kobieto, ma jedno z drugiem? Ciemno tu, jak w duszy grzesznika i...

— Zgaś! Zgaś natychmiast! — Chcesz nas wszystkich poświęcić? Wiesz chyba dobrze, że nic tak piorun nie przyciąga, jak światło! (Psz! Tsz! Bum, bum, bum!) Słyszysz? Widzisz coś zrobił?

— Nie, wcale tego nie widzę, com zrobił. Zapałka może piorun przyciągnąć, o tem wiem, ale i o tem wiem, że nie może go spowodować! To przecież szalona różnica. Bo jeżeli ten piorun kierował się do mej zapałki, to wybrał ją chyba umyślnie z milionów innych. Dlaczegóż u dyaska, miał wybrać właśnie moją?

— Wstydź się Mortimerze! Wszyscy stoimy prawie w obliczu śmierci, a ty wygłaszasz takie mowy.

(Bum, brr, bum, bum! Bum!)

— Ach! Boże! Boże! Boże! — Czuję, że gdzieś koło nas uderzył! Chyba nie dożyjemy do rana! A byłoby dobrze, gdybyś się zastanowił nad tem, że to właśnie twojs mowa... Mortimerze!

— Co znowu?

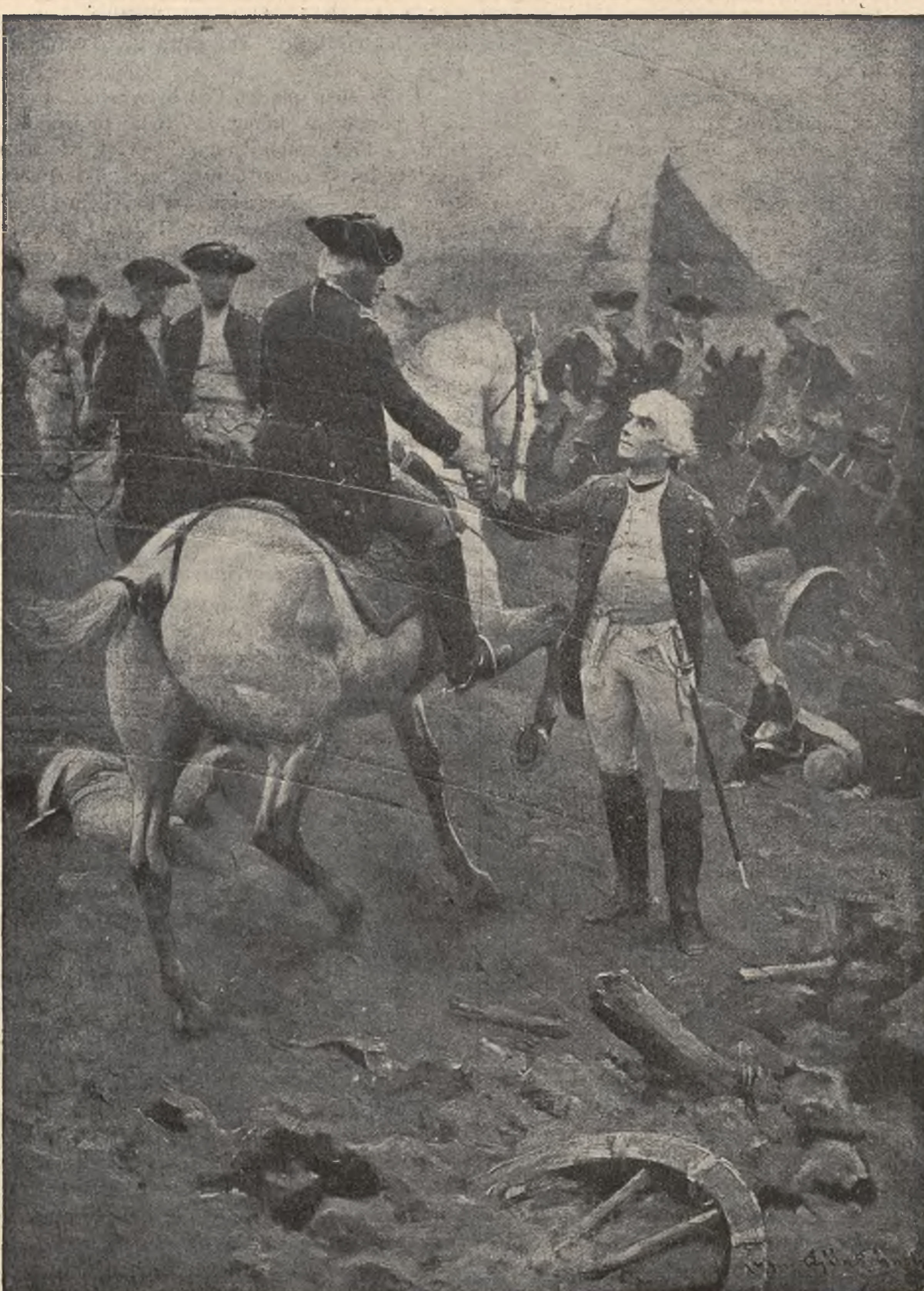
— Twój głos tak jakoś brzmi dziwnie. Czy jesteś teraz przy kominku?

— Tak!

— Idźże stamtąd zaraz! Widocznie chcesz nas wszystkich zgubić. Czy nie wiesz o tem, że piorun najchętniej wpada przez komin? Gdzieżeś teraz?

— Przy oknie!

— Ależ na Boga? Czyś rozum stracił? Idź stamtąd natychmiast! Nawet dzieci wiedzą o tem, że podczas burzy niebezpiecznie stać przy oknie.



Waszyngton i Kościuszko.

O Boże! Wiem, że już nie ujrzę światła dziennego, Mortimerze!

— Co?

— Co to za szmer?

— Ja jestem jego sprawcą.

— Cóż ty robisz?

— Szukam ubrania. Już je mam!... Wdziewam...

— Rzućże je czemprędzej. Nie chce mi się wierzyć, byś je chciał w takiej porze wdziewać. Chyba wiesz, że wszystkie powagi naukowe zgodnie twierdzą, że wełna najłatwiej przyciąga piorun. Ach Boże! Pocóż znowu otwierasz drzwi?

— Bóg z tobą kobieto! Czy to tak źle?

— To nie źle, to śmierć! Każdy, kto choć trochę zastanawiał się nad tem — wie, że przeciąg jest jakby zaproszeniem dla pioruna. Zamknąłeś je tylko do połowy, zamknijże całkiem i śpiesz się, bo zginiemy. Doprawdy to krzyż pański być w takiej chwili z szaleńcem pod jednym dachem. Mortimer, co ty robisz?

— Nic. Idę do umywalni. Jest tu duszno i gorąco. Chcę sobie obmyć twarz i ręce.

— Ty już straciłeś resztę rozumu. Pięćdziesiąt razy prędzej trafia piorun w wodę, niż w inny jaki płyn. Ach! jestem pewna, iż nic nas już nie uratuje. Zdaje mi się, że... Cóż się stało Mortimerze?

— To obraz... Trąciłem go i upadł.

— A więc stoisz przy ścianie. Czegoś podobnego jeszcze nie słyszałam. Czy nie wiesz o tem, że niema lepszego przewodnika dla pioruna nad mur. Idźże stamtąd! Nie rozumiem doprawdy, jak możesz być tak bezbożnym i oddawać całą rodzinę na pastwę niebezpieczeństwa. — Mortimerze! czyś ułożył tak pierzynę jak ci mówiłam?

— Nie! Zapomniałem!

— Zapomniał! To cię może życie kosztować. Jeżeli się ułożysz na pierzynie na środku pokoju możesz być uratowany. Chodźże prędko do mnie, nim popełnisz nowe głupstwo.

— Próbowałem już to zrobić, ale tam mało miejsca. Dla nas obojga nie wystarczy, możemy się udusić. Chciałem wyjść, ale żona zawołała. Muszę coś dla ciebie zrobić, aby cię uratować. Podaj mi książkę niemiecką, leży na gzymsie kominka i świecę. Ale nie zapalaj jej. Daj mi tylko zapałkę, zapalę ją sama, w książce są rady na obecną chwilę.

Podałem jej książkę, a moja pani zaczęła teraz zapalać świecę. Miałem chwilę spokoju, potem jednak zawołała:

— Mortimerze, co to?

— Nic, to kot!

— Kot?! To nasza zguba! Złap że go i wyrzuć do komórki. Ale prędko! Włosy kota mają dużo elektryczności. Do jutra to ze strachu osiwieję.

Usłyszałem płacz. Cóż było robić. Puściłem się w pogoń za kotem. A była to pogoń nielada! — Przez stołki i inne sprzęty, z których niektóre miały ostre kanty, przeskakiwałem jak drugi kot. — Nareszcie schwyciłem kociątko i wpakowałem do komody. Połamałem przytem kilka sprzętów, wartości około 400 dolarów.

Nagle usłyszałem z alkowy ciche słowa:

— W książce jest wskazówka, że bezpieczny od piorunu przedmiot powinien stać na stołku na środku izby. Nogi stołka powinny spoczywać na złych przewodnikach, to znaczy, że powinieneś je powkładać w szklane naczynia.

(Psz! Bum aum. Tsz!)

— Słyszysz! Spiesz się Mortimerze, zanim cię piorun trafi.

Poszedłem więc szukać szklannych naczyń. Znalazłem nareszcie potrzebne cztery naczynia, potłukszy cały szereg innych. Nogi stołka izolowałem, oczekując dalszych instrukcyi.

— Mortimerze tu jest napisane: Podczas burzy trzeba pozbawiać się metali np. pierścieni, zegarka, kluczy itd., i trzymać się zdala od takich rzeczy, które mają wogóle styczność z metalami.

— Nie rozumiem tego!

— Ja także nie rozumiem. To jakoś niewyraźne. Wszystkie reguły niemieckie są niejasne. Ja wnioskuję, że właśnie należy się otoczyć metalami.

— Naturalnie i ja tak myślę. Zdrowy rozsądek nam to dyktuje. Wiesz co Mortimerze? Ubierz się w twój helm strażacki, na nim chyba najwięcej metalu.

Zrobiłem to.

— Teraz musisz Mortimerze i nogi ochronić. Proszę cię wdziejno ostrogi.

I to zrobiłem w milczeniu, przezwyciężając się, aby nie parsknąć śmiechem.

— Mortimerze! posłuchajno dalej: Dzwonienie podczas burzy jest bardzo niebezpiecznem, bo i sam dzwon i dzwonieniem wywołany słup powietrza może przyciągnąć piorun. Czyż nie chce on przeto powiedzieć, że nie powinno się pozwolić no dzwonienie nawet w kościele?

— Ale w nasz dzwon domowy można dzwonić, on przecie nie tak wysoko. Idź do sieni na prawo do naszego dzwonu i... Ach, czy my tyko uratujemy się... Dzwoń prędzej!

Wlazłem na stołek i zacząłem dzwonić, dzwoniłem siedm do ośmiu minut. Nagle ktoś otwo-



Zawiedzione nadzieje.

rzył okiennice zewnątrz, zobaczyłem jasną latarnię i usłyszałem ochrypły głos:

— Cóż się tam u licha dzieje?

Przed oknem stał tłum ludzi, patrzyli zdziwieni na mnie i oglądali mój strój nocny i wojenne uzbrojenie.

Przestałem dzwonić, zlazłem ze stołka i rzekłem:

— Nic się nie stało, przyjaciele! Chciałem tylko przeciwdziałać burzy i odpędzić pioruny...

— Burza? Pioruny? Panie Wiliams, czyś pan ogłupiał? Przecież mamy śliczną gwiaździstą noc. — Ani słychu o burzy...

Ludzie kładli się ze śmiechu; dwóch ze śmiechu umarło. Jeden z pozostałych przy życiu rzekł:

— Panie! Czemuś pan nie otworzył okna i nie popatrzył na ten oto pagórek. To, co pan słyszał, to były strzały armatnie, to, coś pan widział, to był blask od wystrzałów. Trzeba panu wiedzieć, że o północy nadeszła telegraficzna wiadomość, że wybrano prezydentem Garfielda. Ot i przyczyna radości.

— Tak, tak, panie Twain — jak już poprzednio mówiłem — ciągnął dalej pan Mac Williams — tyle dziś mamy środków obrony przed piorunem, tyle i tak wypróbowanych, że wogóle człowiek się dziwi, że kogoś jeszcze dziś piorun wogóle trafia.

Po tych słowach wziął torbę podróżną i parasel i pożegnał się ze mną, bo pociąg dojeżdżał do stacyi, na której miał wysiąść.

# KOBIETY NORWESKIE.

Ze wszystkich krajów europejskich Norwegia posiada obok Finlandyi największą liczbę kobiet, sprawujących urzędy publiczne. Szczególną uwagę ma działalność kobiet w roli urzędników komunalnych i sędziów przysięgłych. Fredrikke Morek, która sama jest w tych dziedzinach czynną, podała niedawno temu bliższe informacye o tej stronie działalności kobiet norweskich. W radach gminnych zasiadało w okresie wyborczym 1908/10 140 kobiet; do tej liczby dodać jeszcze należy 200—300 zastępczyń, powołanych do zastępowania radnych, w razie, gdyby ci z powodu przeszkody nie mogli brać udziału w obradach. Co się tyczy stosunku liczebnego kobiet i mężczyzn w radach gminnych kraju, to prócz 140 kobiet w radach gminnych jest 12,76 mężczyzn. Kobiety stanowią więc $1^1/_{10}$ proc.; w pierwszym okresie wyborczym, w którym kobiety uzyskały bierne prawo wyborcze do rad gminnych (w latach 1902/4), liczba ich nie wynosiła 1 procentu. Działalność kobiet w radach gminnych bywa na ogół korzystnie osądzaną. Są pilne i sumienne, niejedno pożyteczne zarządzenie przyszło dzięki im do skutku, np. zakaz sprzedaży tytoniu dzieciom poniżej lat 15, dalej zakaz, wydany zakładom zastawniczym, aby nie przyjmowały od dzieci poniżej 15 lat przedmiotów na ich imię w zastaw; dawniej bowiem złodzieje posługiwali się dziećmi przy ukrywaniu skradzionych przedmiotów. Również kobietom zawdzięczać należy, iż małym dzieciom nie wolno jest obecnie odnosić bielizny na statki. Niejednokrotnie bowiem zdarzyło się dawniej, że dzieciom przy takich sposobnościach działy się krzywdy.

W Chrystanii zasiadają kobiety w radzie szkolnej, w radach zajmujących się sprawami ubogich i sierót, a od 1 stycznia 1910 r. zajmują one stanowiska inspektorów fabrycznych. W policyi kobiety są już od dłuższego czasu czynne. W więzieniach, w których zamyka się pijane kobiety, obowiązki dozorczyń spełniają kobiety, które mają też obowiązek przeszukać aresztowane osoby, czy nie mają przy sobie broni, niebezpiecznych narzędzi, lub rzeczy skradzionych. Jako członkinie rad gminnych kobiety uczestniczą przy wszelkich uroczystych przyjęciach i podobnych okazyach. Oczywista, że wywołuje to wciąż jeszcze pewnego rodzaju sensacyę. W Bergen np. była tylko jedna kobieta w charakterze radnego miasta obecna przy uczcie uroczystej, jaką wydano na cześć króla z okazyi otwarcia kolei bergeńskiej. Pewna kobieta, wchodząca w skład reprezentacyi miasta Chrystanii, a należąca także do armii zbawienia, jawia się w uniformie tej armii nawet przy stole królewskim. Kobiety są w Norwegii jako sędziowie przysięgli czynne od r. 1904. Sędziowie przysięgli wybierają tam mówcę; często się zdarzało, że mówcą wybierano kobietę. Za pierwszym razem między przysięgłymi było 6 proc. kobiet, a między ławnikami 7 proc. Obecnie liczba kobiet przysięgłych jest podwójna, a kobiet ławników potrójna. Działalność kobiet na tych stanowiskach również zaznaczyła się nader dodatnio.

Modlitwa bez czynu, religia bez miłości, miłość bez poświęcenia, miłosierdzie bez ofiary, honor bez cnoty — to najbrzydsze kłamstwa człowiecze.



Wśród ciszy czyli kot panem w domu.

## Czyny wybitne starców.

Cały szereg wielkich ludzi dokonał swych znaczniejszych dzieł dopiero po upływie 60 roku życia.

Pomiędzy wybitnymi mężami starymi zajmował miejsce Mark Twain, którego artykuł „Starość“, ogłoszony w niedawno założonem czasopiśmie „Stary mężczyzna“, był ostatnią pracą, dokończoną przez tego wielkiego humorystę. „Jestem starym mężczyzną — pisał on — tak

starym, że pierwotnie sama myśl, iż mogę się tak zestarzeć, wywołały moje zdziwienie. Obecnie nie wydaje mi się to wcale dziwnem. — Nie odczuwam też zazdrości z powodu mojego wieku. Nikczemnem byłoby twierdzenie, że ja, który się mogę poszczycić życiem 70 letniem, to znaczy przy pomocy lękarza i rodziny mojej, miałbym się łakomić na wiek innych. — Ale tak jest w rzeczywistości. Powód tego leży w fakcie, że inni ludzie, jakkolwiek sam się szczycę mym wiekiem, są o tyle starszymi, iż wyglądam śmiesznym w własnych oczach". Mark Twain wspomina potem o Methusalemie i o starym Parrze, który dożył 152 lat i dodaje, że wiek jest najlepszą sposobnością zostania sławnym dla mężczyzny, który nie mógł się inaczej odznaczyć w ciągu swego życia.

Mniej sceptycznemi są zapatrywania znanego wynalazcy sir Hirama Maxima: „Jest błędem — pisze 70-cioletni starzec — jeżeli się mię uważa za starego. Nie jestem nim wcale. Przytem jednak przyznaję, że większość ludzi urodzonych w 1840 roku uważa się za starych. Prawdą jest, że żyję 70 rok, a podług zapatrywania rzeczoznawców, liczyłbym conajmniej 90 rok życia, gdybym był wielkim pijakiem i silnym palaczem. Ale przez całe życie miałem tyle roboty, iż brakło mi czasu na postarzenie się".

Sir Frederick Young, założyciel instytucyi kolonialnej angielskiej, liczący obecnie 93 lat, żywi nadzieję doczekania się rzeczy niezwykłych i zadziwiających, ponieważ przeżył tak zadziwiające wydarzenia, iż uważa wszystko za możliwe. Znakomity łacinnik, profesor Mayer pomimo 85 roku jest w pośrodku pozaczynanych prac wielkich: „Czytam przez cały dzień. Mego wzroku nie męczy nawet najdrobniejszy druk, a słuch mam wyborny. Czytam codziennie głośno przez 5 do 6 godzin. Thomas-Hardy, wielki poeta angielski, osiągnąwszy 79 rok życia, wszedł na zupełnie nowe tory swego rozwoju i rozpoczął pracę nad dziełem, różniącem się całkowicie od jego prac dotychczasowych. Najstarszym żyjącym Indyaninem jest naczelnik szczepu Wolfrobe Wolsfell, który skończył 100 rok życia. Tajemnicę swego życia wyraża on słowami: „Dobrze żyć, lecz nie za dobrze, to jest wszystko".

O miejsce honorowe najstarszego mężczyzny na świecie ubiegało się wielu. Należy się ono jednak na podstawie dokładnych sprawdzeń byłemu nauczycielowi Antoniemu Steinackerowi, liczącemu 117 lat. Jego pożywienie składa się prawie wyłącznie z mleka. Jakkolwiek jest ślepym i głuchym, pomimo to jest przywiązanym do życia. „Życie jest przecież godnem życia" — powiada on. — „Jestem szczęśliwym, iż jeszcze żyję".

# WOLA KOBIETY.

Kobieta posiada wolę większą i silniejszą, niż mężczyzna. W tem objawia się ta dziecięcość. która tkwi w kobiecie, gdyż największą i najsilniejszą wolę ma dziecko. Mężczyzna chce przeważnie, a raczej zawsze tylko tego, co jest osiągalne. Kobieta często chce także tego, czego nie można osiągnąć.

O ile się jednak częściej mężczyzna zaweźmie w swojej woli, o tyle rzadziej to ma miejsce u kobiety. Ona tylko wtenczas stanowczą jest w swej woli, jeżeli ją nęci opór, jeżeli się jej da do poznania, że to, czego ona chce, jest niemożliwe. Ale skoro ona to sama zobaczy, natychmiast jej wola zwraca się do czego innego, często wręcz do przeciwnego temu, czego przedtem chciała.

Jeżeli tu chodzi o małą rzecz, to nazywamy to grymasem, humorem, chimerą i czynimy z tego zarzut kobietom. A przecie niesłusznie. Gdyż ten dla nas pozornie niezrozumiały przeskok leży głęboko ugruntowany w istocie duszy kobiety i sprawia, zastosowany do jakiejś wielkiej rzeczy, — istotną wielkość kobiety.

Chcieć złamać wolę kobiety, to się na nic nie zda; musi się ją skierować do wielkich celów — ale jeśli chce się odebrać kobiecie wolę, to musi się jej dać jakieś nowe zachcenia, większe zupełnie ją wypełniające. Wtenczas staje się kobieta szczęśliwą i wdzięczną.

Albowiem w każdej kobiecie, więcej niż w mężczyźnie, leży pęd czynienia czegoś, czegoś wielkiego, poza jej świat, poza jej sferę, często poza jej siły wychodzącego. Jak się jej to da, to później można nią we wszystkiem innem kierować, tak, że nawet kobieta sama sobie nie zdaje z tego sprawy.

# Muszkieter jako kapitan.

Pewien muszkieter pruski, odkomenderowany niedawno do kapitana, bawiącego na urlopie w Gorlicach, pozwolił sobie na Koepenikjadę. Pod nieobecność swego przełożonego, ubrał się w jego mundur. Tak ubrany udał się nasamprzód do warty w koszarach III, później do aresztów, gdzie są pomieszczeni więźniowie,

a w końcu na wartę w koszarach I. Wszędzie rewidował kluczników i przyjmował przepisowe meldunki. Po dokonaniu tych „rewizyi“ udał się do jednej z restauracyi celem pokrzepienia sił. Tu jednak szczęście mu nie dopisało. Kelnerka, zatrudniona w tym hotelu, poznała, że jest on tylko przebranym oficerem i narobiła krzyku. Muszkieter-kapitan, skorzystawszy z zamieszania uciekł wprost do domu swego pana. Stamtąd znowu zbiegł i skradłszy po drodze rower, uciekł nią do Laudan, gdzie próbował się utopić w Queis. Przechodnie odnaleźli go wkrótce nieprzytomnego na brzegu i odprowadzili do domu rodziców, zamieszkałych w Berthelsdorf koło Laudan. Ci zawiadomili zaraz drugi batalion 19-go pułku, by odebrano zbiega pod chorągiew.

Jako powód awanturniczej wyprawy, muszkieter podał, że się upił ze złości pod wpływem skargi o alimenta, które miano niebawem wnieść przeciwko niemu.

# DLA ROZRYWKI

## Gry towarzyskie.

### Bałamunt.

Bałamutem trafnie przezwano waleta pik, który, usunięty z talii kart, poszedł, za wiedzą kierownika zabawy, na lauferkę. Odbywa ją pod jakim przyciskiem na stole, gdzie go się przed rozpoczęciem gry umieszcza.

Pozostałe 51 kart z talii kierownik rozdaje w koło wszystkim obecnym przy stole, po jednej karcie aż do wyczerpania talii. Gdy to nastąpi, każdy zbiera swoje karty i odrzuca z nich pary, tj. dwa asy, dwie dwójki, trójki itd. na tackę stojącą pośrodku stołu. Pod nią zwykle ukrywa się bałamut. Teraz kierownik rozpoczyna t. zw. wóz, tj. rozkłada karty, jakie mu zostały w ręku wachlarzem koszulkami do góry i podaje ten wachlarz sąsiadowi z lewej. Sąsiad wybiera jedną z kart podanych, porównywa ją ze swemi kartami, a jeżeli znajdzie wśród nich parę do niej, to parę tę odrzuca na tacę, a resztę kart podaje wachlarzem zakrytym znowu sąsiadowi z lewej. Tak robią wszyscy dookoła stołu dopóty, dopóki komuś nie pozostanie w ręku jeden walet bez pary. Parą tego waleta będzie właśnie bałamut z pod tacki.

Waryantem tej gry jest niemiecki „Czarny Piotr“. Tu odrazu usuwa się z talii trzech waletów i zostawia się tylko pikowego, który, nie mając pary, musi ostatecznie zostać w czyjemś ręku, ku wielkiej uciesze pozostałych graczy.

### Opinia.

Rodzaj sekretarza. Kierownik rozdaje obecnym kartki papieru z prośbą, ażeby każdy podpisał się wyraźnie u góry kartki. Gdy to nastąpi, kartki złożone kierownik odbiera, wrzuca do kapelusza, tasuje i rozdaje znowu obecnym z prośbą o napisanie opinii o tej osobie, która jest wymienioną na kartce. Gdyby wypadkiem ktoś otrzymał z powrotem własną kartkę, to winien osmarować samego siebie. Teraz kierownik znowu odbiera kartki i odczytuje opinie z wygłoszeniem nazwisk. Tych ostatnich jednak może nie wygłaszać, lecz zwraca się do jednego z obecnych i prosi go, ażeby z opinii odgadł osobę, o której mowa na kartce. Jeżeli odgadnie odrazu, to owa osoba daje fant, jeżeli się pomyli i odgadnie za drugim razem, to nikt fantu nie daje. Jeżeli wcale nie odgadnie, to sam karze ulega.

### Siła ludzka.

Siła ludzka w zestawieniu z siłą zwierząt, o ile dotyczy przenoszenia ciężarów po równej płaszczyźnie, wyraża się w następujących liczbach:

| | |
|---|---|
| Siła człowieka . . | 1 |
| „ jelenia . . . | 3 |
| „ osła . . . . | 4 |
| „ konia . . . . | 8 |
| „ dromadera . . | 25 |
| „ wielbłąda . . | 31 |
| „ słonia . . . | 147 |

## Jak przejść przez kartę.

Kartę przecina się wzdłuż po środku, zostawiając wązkie pola od strony obu końców. Na przecięciu zgina się kartę i ostremi nożyczkami nacina się szereg linii, nie dochodzących do brzegów, w poprzek, raz od prawej ku lewej, to znowu od lewej ku prawej, na przemiany i możliwie najgęściej. Co uczyniwszy, kartę się rozpłaszcza na stole i pociągnąwszy za oba końce, otrzymuje się rodzaj koła zębatego, przez które można przesadzić głowę, a nawet będąc szczupłym, przejść całkowicie. Naturalnie trzeba postępować bardzo ostrożnie, ażeby karty nie przerwać.

---

# Łamigłówki.

### Arytmogryf.

1 2 3 4 2 5 6 7 8 9 ? ? ?
2 13 2 5 6 14 11 2 — Inaczej uniwersytet.
3 6 12 10 3 — Cesarz rzymski.
4 2 14 11 9 2 — Rzeka w Anglii.
2 12 6 8 9 4 2 3 4 — Człowiek uwięziony.
5 2 3 4 6 — Poeta włoski.
6 1 10 13 2 — Okres czasu.
7 13 12 2 11 3 2 — Część dawnej Polski.
8 9 2 14 1 2 3 — Napój musujący.
9 2 1 2 8 3 11 13 — Inaczej siłacz.

Liczby zastąpić należy literami. Wyraz pierwszy i litery początkowe tworzą tytuł ogólnie znanego poematu, którego autorem jest jeden z naszych najwięcej uwielbianych poetów.

### Szarada.

*Pierwsza* jest tonem w muzyce,
*Drugi* znajduje się w rzece;
*Całość* jest to płyn rumiany,
Szkodliwy lecz używany. *W. Wł.*

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 29. września na ręce redakcyi.

**Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.**

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 40.

---

# Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 37.:

### Arytmogryf.

**J**askinia
**A**nanas
**N**owowiejski
**S**arasate
**O**rinoko
**B**iblioteka
**I**wonicz
**E**rie
**S**kowronek
**K**raków
**I**rena

### Szarada.

To—po—la.

**Trafne rozwiązania nadesłali:**

*Z Galicyi:*

pp. Antoni Barański, Władysław Bauer, Marya Chciukówna, Michał Chciuk, Jan Gawron, Józef Głuszak, Emil Gruszecki, Jan Habela, Walerya Jankowska, E. Kamiński, Aleksandra Korotkiewiczowa, Otylia Kostańska, Teodozya Kraliczkowa, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Romuald Kulczycki, Mila Makowiecka, Z. Maślakiewicz, Ludwik Mazur, Wacław Nowosielecki, Anna Ostrowska, Alina Panasiewiczówna, Józef Poncza, Aleksander Stobiecki, P. Stolarzewicz, Helena Suchecka, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Eugeniusz Szulc, Władysław Trybała, Stan. Turczański, A. Wełnianka, T. Weseli, M. Skrzyszowska.

*Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:*

pp. Kazimierz i Walenty Balcerski, Marya Bembista, N. Brzezińska, Irena Chłapowska, Tomasz Cichowski, Wiesia Czypicka, Pelagia Dłużewska, Maryla Galon, „Janek z pod Góry Przemysława“, Marya Jankowska, Halina Jarnatowska, Zofia Karasiewicz, Marya i Stefcia Konopińska, Bronisława Kościńska, Zygmunt Krajewski, J. Kwiecińska, W. Leszczyńska, Fr. Nawrocka, Netka Ostrowska, Hieronim Piechocki, Stanisław Pietrzak, Tadeusz Przybyszewski, Jan Rociński, M. Śniegocka, Zofia Stachowska, J. Strugarek, Jadwiga Szymankiewicz, Jan Wachowski, Mieciu Wierzchowiecki, Oleńka Żurkowska, J. Spychalska.

*Z obczyzny i zagranicy:*

pp. Hieronim Jaworowski z Drezna, Józef Kelner z Niem Lutynii (Śląsk austr.), Ignacy Matuszak z Altenessen (Nadrenia), Wawrzyniec Rapiór z Oberhausen (Nadrenia), Władysław Sokołowski z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Józef Zarzycki z Turynu (Włochy).

**Nagrodę otrzymali:**

pp. W. Leszczyńska z Poznania, Zofia Karasiewisz z Tucholi, Józef Głuszak z Jarosławia (Galicya), Marya Chciukówna z Izdebek (Galicya).

**Uwaga:** *Przy rozdawaniu nagród nie uwzględniamy pseudonimów.*

# Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.


Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

MARYA RODZIEWICZOWNA.

# WRZOS

POWIEŚĆ. NR 39

(Ciąg dalszy).

— Przecie dobrana choć raz para: osieł i koczkodonem — odparła spokojnie Ocieska. — Tak mi się to podoba, że pożyczę panu Szekspira. Tam, znajdzie go pan na półce.

Nalała sobie kawy, zapaliła papierosa i zagłębiła się napowrót w czytaniu.

Radlicz wziął książkę, zajrzał do pracowni.

— Już skończony portret pani Rudnickiej? Dlaczego nie na wystawie?

— Pan nie wie? — ruszyła ramionami. — Dziwię się! Pan nawet zna tajemnice alkowy pani Rudnickiej; myślałam, że tem lepiej wie pan, gdzie umieszczono portret.

— Ależ kolega dziś zły! — zaśmiał się.

— Czy bywam kiedy dobra?

— Phi — dobra, nie — ale mniej zła.

— Względem pana? Wątpię, nie miałam przynajmniej nigdy tego zamiaru.

— Dziękuję.

— Niema za co. Mówię w oczy, co pan za oczy.

— Jakto?

— Takto! Z tą różnicą, że gdy pana nie widzę, nie wiem i nie pamiętam, że pan istnieje na świecie; a jak pan mnie nie widzi, to pan jednak mnie łaskawie wspomina, odsądzając od czci, wiary, talentu, co zresztą czyni pan z każdym i każdą.

— To fałsz. Trzeba nie być artystą, żeby nie uznawać pani talentu, a oryginalną wolno pani być na pani stanowisku.

— Doprawdy, wolno! — zaśmiała się ironicznie! A jakby nie było wolno, tobym nie była?

Zaśmiała się raz jeszcze z bezmierną pogardą.

Wstała, spojrzała na słońce, potem na zegarek.

— Co za pycha patrzy z pani! — zaśmiał się Radlicz.

— Myśli pan? Nie! Tylko pewność bezwzględnej wolności. Wolno mi być sobą, bo nie w ludzkiej mocy odjąć mi to, co posiadam, ani dać czego pragnę.

— Śliczne zdanie, ale do bajki. Chciałbym panią widzieć bez sławy, bez talentu, bez pieniędzy i bez ludzi.

— Ludzie mi dali talent i sławę?

— Sławę mogą pani odjąć w każdej chwili!

Ruszyła ramionami.

— I owszem. Żeby wiedzieli, jak mi zbrzydły portrety i słuchanie bredni i komunałów przy pozowaniu! Będę malowała bardziej udane Boże twory, niż ludzie!

— Ale ludzie płacą!

— To niech nie płacą. Mam osobisty fundusz.

— Invulnérable! — zaśmiał się Radlicz.

Ocieska popatrzała drwiąco na niego.

— Tak. Nawet natura uczyniła mnie takim koczkodonem, że i czci mojej zbrudzić nie można, boby nieszczęsny, o romans ze mną posądzony, wyzwał potwarcę o obrazę męskiego honoru.

Spojrzała znowu na zegarek.

— Pani wychodzi? — spytał.

— Czekam na panią Sanicką.

Spojrzała na Radlicza, jakaś myśl przeszła jej błyskawicą przez głowę.

— Aha! Szekspir! — mruknęła.

Radlicz poczerwieniał, jak student.

— Co pani ma za posądzenia? Zkądże mogłem wiedzieć, że pani Sanicka tu będzie?

— Niemam żadnych posądzeń! Czekaj pan! Nie mój interes!

Wyszła do pracowni i wróciła po chwili, już przebrana, jak na wizytę.

Radlicz siedział zamyślony.

— Pani drwi ze mnie, ale który z nas artystów nie zachwyciłby się panią Sanicką! Nie zdarzyło mi się spotkać w życiu tak uroczej twarzy, tak ślicznego w całości typu kobiecego.

— Taak! A Baumblattowa!

Radlicz skoczył, jakby mu kto nadeptał na odciski.

Baumblattowa była to podżyła piękność wschodnia, nieszczęsny, fatalny kaprys z przed kilku lat, wstyd i śmieszność całej jego karyery miłosnej. Spojrzał wściekły na drwiącą twarz Ocieskiej.

— Żebym wiedział, kto mi tę babę przylepił!

— Tak, to była nieudana fantazya. Chyba jako studyum do Walpurgisnacht.

— Ależ to fałsz, u licha!

— No, no, szanowny artysto, nie mnie okłamujcie, bom was widziała pewnego majowego wieczoru w Łazienkach. Wysiedliście z powozu za mostem nad stawem i...

— A cóż pani robiła po nocy w Łazienkach?

— Hm, może byłam z kochankiem. W każdym razie nie profanowałam cudnej nocy księżycowej i słowiczych pieśni gruchaniem z takim poronionym Bożym tworem, jak Baumblattowa.

— Pani jesteś oprawcą! — zaśmiał się Radlicz, widząc, że się przed nią nie wykłamie.

W tej chwili zapukano do drzwi i weszła Kazia.

Zeszczuplała i zbielała przez te parę miesięcy miejskiego życia, zdyszana była i zawołała od progu:

— Spóźniłam się, myślałam, że wcale się nie uwolnię. Wie pani, Kostyński umiera!

Spostrzegła Radlicza, zawahała się chwilę, podała mu rękę.

— Mówiono mi, żeś pan wyjechał.

— Zapewne Wolskie. Co prawda, od trzech dni nie wychodzę na miasto; pracuję.

— Nie, Wolskie zajęte są teraz doktorem Downarem! Boże, com się naśmiała! One jutro coś wymyślą na mego teścia!

— Cóż wymyśliły na Downara? — spytała Ocieska.

— Ano, zawsze jedno. Downar ma romans!

Ocieska ruszyła ramionami.

— Słyszałem już o tem — zaśmiał się Radlicz. — Downar ma mieć kawalerskie mieszkanie, gdzie odprawia orgie. Panie w to nie wierzą, ja owszem! Żebym miał taką Downarową za żonę, miałbym nie jedno, ale trzy kawalerskie mieszkania, i do domu wcale bym nie zaglądał.

— A ja, co Downara dobrze znam — odparła Ocieska — to ręczę, że gdyby go pod szubienicę prowadzili, a najcudniejsza z kobiet mu rzekła: weź mnie, a nie będziesz wisiał, toby katowi pomagał stryczek zakładać, byle prędko skończyć.

— Ja zaś nie rozumiem, w czem Downarowa jest gorsza od innych — rzekła Kazia. — Skrzętna, radna, porządna kobieta. Widuję ich często, a nigdy nie byłam świadkiem żadnej przykrej sceny.

— Do sceny potrzebny dyalog. Więc gdy ona piłuje i miota się, a Downar milczy, niema pełnego efektu! Wypije pani kawy? — rzekła Ocieska.

— Wypiję. Mamy jeszcze czas.

— Panie idą w aleje?

— Tak. Wtorek u pani Ramszycowej.

— Odpowiedziała, nie patrząc na niego, chociaż czuła, że oczu z niej nie spuszcza. Zdjęła kapelusz i rękawiczki i odebrała z rąk Ocieskiej filiżankę.

— Sama sobie usłużę! — uśmiechnęła się. — Uważa pani, jak się zasługuję, bo mam prośbę.

— Co, znowu dobroczynna karota pani Markham?

— Broń Boże. Myślę o małej Kostyńskiej!

— Mam ją adoptować!

— I owszem, jeśli tego będzie warta! Tymczasem spróbować, czy warto ją kształcić na artystkę.

— Żeby popełniała w przyszłości takie kryminały, jak malowane ekrany, patery, poduszki itp. ohydy, które ją doprowadzą do głodowej śmierci, a ludzkość do kompletnego zaniku poczucia artyzmu! Winszuję! Ja mam do tego pomagać!

Kazia zaśmiała się serdecznie.

— No nie! Zapobiedz raczej, jeśli nie ma talentu. Kostyński wszystkie troje dzieci mi oddał pod opiekę; biedak umiera spokojny o ich los.

— Wierzę. Żeby był umarł, zanim się ożenił, jeszcze lepiejby zrobił! — mruknęła Ocieska.

— Kto jest Kostyński? — spytał Radlicz.

— Biedny grajek z orkiestry, wdowiec, suchotnik. Lokator z naszego domu!

— I w myśl zasady: nic w naturze nie ginie, autor trojga młodocianych suchotników — dopowiedziała Ocieska.

Kazia uderzyła ją rękawiczką po ręku.

— Nie szydzić z ludzkiej nędzy! Zresztą dzieci zdrowo wyglądają. Starszego chłopca umieściłam w szkole handlowej, drugi ma zajęcie w redakcyi. Dziewczynką pani się zajmie. Jeśli ma talent, tu zostanie, w przeciwnym razie mam dla niej lokatę w Galicyi.

— Niech mi ją pani przyśle jutro! — z westchnieniem zwalczonego egoizmu i lenistwa rzekła Ocieska.

— Dziękuję. Pani pozuje na nieużytą, ale już się na tem poznałam — uśmiechnęła się Kazia.

Piła kawę, spiesząc się. Widocznie denerwował ją uporczywy wzrok Radlicza.

— Pani już nie bywa konno w Alejach? — rzekł.

— Owszem, codzień, tylko zmieniłam godzinę, żeby nie spotykać znajomych.

Było to dobitne. Dla złagodzenia dodała:

— Słyszał już pan Cafieri?

— Tak! W „Cavalerrii“ i jestem zachwycony.

— My mamy być pojutrze na „Carmenie“.

— Bardzo nowa, świeżutka opera! — zaśmiała się Ocieska.

— Dla mnie będzie nowa. Byłam w życiu trzy razy na operze.

— Nie może być!

— A najwyżej dziesięć razy w teatrze.

— Żartuje pani?

— Nie. Doprawdy. Nie miałam kiedy używać tej rozrywki. Jestem przecie dzika wieśniaczka.

— A teraz? Woli pani wieczory w domowym kółku?

— Tak! Wolę samotność i ciszę, niż gwar i tłum. Nie nudzę się nigdy sama z sobą, a często z ludźmi nawet bardzo zabawnymi!

To było znowu dobitne i cięte, i znowu dla złagodzenia dodała:

— Zresztą mało mam wolnych wieczorów. Wtorki u pani Ramszycowej, czwartki u Markhamów, niedzielę u Dąbskich, w sobotę sami przyjmujemy. Dodać do tego różne sesje teścia i fabrykę męża na teatr już niema czasu. No, już idę — zakończyła wstając i naciągając rękawiczki.

Radlicz powstał także i pożegnał panie.

Zaraz za nim one wyszły. Przed bramą czekał powóz.

— Phi, taka parada! — rzekła Ocieska.

— Idée fixe mego teścia — odparła Kazia. Przyśniło mu się, że mnie tramwaj przejechał i nie pozwala wieczorem iść pieszo. Bo prawda, i ja się boję ulicy. To dziwne, u siebie na wsi nie wiedziałam, co strach. Bywałam wśród piorunów na polu, na cmentarzach w noc ciemną, błądziłam w zadymkę, unosiły mnie konie, gonił rozszalały byk, nigdy nie doznawałam tej zgrozy i lęku, gdy mi parę razy się trafiło wracać późnym wieczorem wśród ludzi.

— Ba! W tem właśnie różnica. Tam się ma do czynienia z Bogiem i ze zwierzem, tu z ludźmi. Tamto może zabić, zniszczyć, to czasem też zabija, ale rzadko, a zawsze zbrudzi. Co Radlicz pani zawinił? — spytała nagle.

— Właściwie nic! Jest, jak wszyscy, tylko cyniczniejszy bardziej! — odparła z niesmakiem. Byłam z nim szczera i swobodna: źle to pojął, posunął się za daleko, musiałam go z błędu wyprowadzić, no i zemścił się obmową!

Ocieska potrząsnęła głową.

— Obmówił panią — ha, może być, ale wątpię.

— Chyba zły i ostry jego język jest dość sławny.

— Tak. Ten dla konceptu wszystko sprzeda.

— Zresztą, co tu jest innego, jak obmowa — wybuchnęła Kazia. — Dlaczego ludzie się znają, odwiedzają, bywają w teatrze, na koncertach, wydają rauty, nawet uprawiają dobroczynność, sport, nabożeństwo, tylko, żeby się obmawiać, żeby wynaleźć nowinkę, żart, plotkę i tylko mieć pastwę dla obmowy. Wie pani, od paru miesięcy, gdy

tu jestem nie słyszałam jeszcze jednego dobrego słowa, pochwały lub uznania. Jeśli nie kryminał, to skandal, jeśli nie skandal, to brudne podejrzenie i insynuacya podła, zresztą drwiny i śmieszność. Kogo nie można stawić pod pręgierz, tego chociażby oplać lub wyszydzić! Obmawiają mężczyźni, zda się poważni i zapracowani, obmawiają matrony, kwestujące w kościele, obmawiają młode panny i kawalerowie, dzieci obmawiają w Saskim ogrodzie. To jest reguła bez wyjątków!

— Owszem. Tam, gdzie jedziemy, nikt nikogo nie obmawia.

— Tak, tylko tam! — odetchnęła Kazia. — Zresztą, słuchając tych ludzi, którzy się uśmiechają, ściskają i całują, myśli się, już nie z oburzeniem, ale ze zgrozą, czy ci ludzie mają jeszcze sumienie, i gdzie ich wstyd i etyka.

— A co jest najstraszniejsze, że kto tam wpadnie i żyć wśród nich musi, zrazu się przerazi, potem oburzy, potem zobojętnieje, potem się zarazi, i wreszcie staje się, jak wszyscy. Jedni przez bierne nasłuchanie, inni ze strachu, inni przez zemstę. Oplwani plują także.

Kazia potrząsnęła głową, spojrzała prosto, jasno w oczy Ocieskiej.

— Ja nigdy, bo coraz mi to wstrętniejsze, coraz dalej się od nich odsuwam, coraz więcej mam niechętnych. Zostanę wreszcie sama, ale plwać przy sobie nie pozwolą i sama plwać nie będę.

— Ale oplwaną pani będzie.

— Już jestem i będzie jeszcze gorzej. Kobiety jedne nie mogą mi darować, żem zrobiła świetną partyę! Świetną! — powtórzyła ironicznie — drugie, że bronię obmawianych i prostuję fakta. Mężczyźni, znając moje domowe stosunki, pewni, że nikt się za mnie nie ujmie, pozwalają sobie tymczasem pochlebiać i zaczepiać, potem będą się mścić za porażkę. Przygotowanam na wszystko, nawet na utratę opinii, na śmieszność, na wszelkie oszczerstwa. Ale wśród tych ludzi mnie nie pomieszczą, ani ta zaraza mnie nie ogarnie? Obcą tu byłam i obcą zostanę.

— Amen! — rzekła Ocieska podając jej rękę. — Samą pani nie zostanie. Bywa nas przecie pięcioro tutaj!

Powóz stanął. Wysiadły, i Kazia rzekła do stangreta:

— Jedźcie, Walenty, po pana na Wiedeński. Jeśliby zatrzymał was, to wrócę dorożką, jeśli nie, bądźcie tu o dziesiątej.

— Mąż pani wraca co wieczór? — spytała Ocieska.

— Prawie codzień! Dziś będzie niezawodnie, bo jutro ślub Markhama.

— Tak prędko!

Weszły do przedpokoju, potem do małego saloniku, gdzie już zastały resztę towarzystwa.

Ramszycowa, zawsze czynna, robiła koronkę. Dwóch mężczyzn: doktór Downar i młody podróżnik i botanik Sokolski rozmawiali o biegunie południowym, przy bocznym stoliku mała Lili pod opieką angielki przeglądała ilustracye.

Na widok wchodzących, dziewczynka zerwała się z radosnym okrzykiem i poskoczyła do Ocieskiej. Ta ją podniosła z ziemi, ucałowała, i trzymając na rękach powitała resztę towarzystwa, podczas gdy Lili świergotała, despotycznie ją skubiąc za ramię.

— No, i co się stało dalej z tym żukiem? Skończysz, chodź do nas — o tam — do tego stolika. Miss niech sobie idzie. Ty będziesz ze mną.

— Lili! wynoś się, lub siedź cicho! — zawołała Ramszycowa.

Lili umilkła, położyła paluszek na ustach, uśmiechnęła się do siebie z porozumieniem i usiadły opodal pod lampą do stołu z rysunkami. Angielka podała Ocieskiej zeszyt, gdzie były jej ilustracye do historyi o awanturniczym żuku. Lili usadowiła się wygodnie na jej kolanach, wlepiła oczy w ołówek i słuchała cudnej bajki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

**ALEKSANDER DUMAS.**

# WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

## KAWALER DE MAISON-ROUGE.

### POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Cóż ty nazywasz arystokratycznem? no, wytłómacz się.

— Wszystko co gniewa naród, a sprawia przyjemność jego nieprzyjaciołom.

— A więc według ciebie — mówił Gilbert — ja gniewam naród bo nie chcę uwędzić wdowy Kapet. Bo widzisz przyjacielu, ja tylko pamiętam na przysięgę, którą wykonałem Francyi i na rozkaz mego brygadyera. Rozkaz ten znam na pamięć. Pilnować aby uwięziona nie umknęła, nie wpuszczać do niej nikogo; usunąć wszelką korespondencyę, jakąby chciała zawiązać lub utrzymywać i umrzeć na swojem stanowisku. Otóż wszystko, co przyrzekłem, wszystko co dotrzymam. Niech żyje naród!

— To co powiedziałem — zaczął znowu Dufresne — nie znaczy, że coś do ciebie upatrzyłem, ale wierz mi owszem, że mocno by mi przykro było, gdybyś się skompromitował.

— Cicho! ktoś nadchodzi.

Jakkolwiek rozmowę tę prowadzono po cichu, najmniejsze jednak jej słowo doszło do uszu królowej.

Tak to w więzieniu podwaja się czujność słuchu.

Szmer, który zwrócił uwagę obu strażników, czyniło w istocie kilka osób zbliżających się ku drzwiom.

Drzwi otworzyły się, i weszli dwaj urzędnicy w towarzystwie odźwiernego i kilku ceklarzy.

— I cóż! — spytali — jak się sprawuje uwięziona?

— Jest tam — odpowiedzieli dwaj żandarmi.

— Jakże mieszka?

— Obaczcie!

I Gilbert poszedł odsunąć parawan.

— Czego chcesz? — zapytała królowa.

— Obywatelko Kapet, gmina przybywa odwiedzić cię.

— „Jest to poczciwy człowiek — pomyślała Marya-Antonina — a jeżeli przyjaciele moi zechcą..."

— Dobrze, już dobrze — powiedzieli urzędnicy odsuwając Gilberta i wchodząc do królowej — po co tu tyle ceremonii.

Królowa nie podniosła oczu, a nieczułość jej dowodziła, że nie widziała ani słyszała co się w koło niej działo i sądziła, że jest sama.

Posłańcy gminy ciekawie obejrzeli wszelkie szczegóły pokoju, przypatrywali się obiciu, łóżku, kratom u okna wychodzącego na dziedziniec kobiet, i nakoniec zaleciwszy żandarmom najpilniejszą czujność, wyszli nie przemówiwszy ani słowa do Maryi-Antoniny, która też niezdawała się wcale spostrzegać ich obecności.

---

VII.

**Sala straconych kroków.**

Przy schyłku dnia, w którym urzędnicy tak starannie przejrzeli więzienie królowej, jakiś człowiek w siwej opończy, z gęstym czarnym włosem na głowie, na wierzchu której miał czapkę, podówczas między pospólstwem odznaczającą zagorzałych patryotów, przechadzał się po wielkiej sali, tak filozoficznie nazwanej salą straconych kroków i zdawał się zwracać pilną uwagę na osoby zwykle tę salę napełniające, a zbyt liczne w nowej epoce, kiedy proces nabył znakomitej wagi i kiedy rozprawiano już tylko o zaprzeczeniu swej głowy katom i obywatelowi Fouquier-Tinville, który ich niezmordowanie zasilał.

Człowiek, którego obraz dopiero naszkicowaliśmy przybrał postawę w bardzo dobrym guście, albowiem ówczesna społeczność dzieliła się na dwie klasy, to jest na wilków i baranów; naturalnie zatem jedni powinni byli przerażać drugich, ponieważ jedna połowa społeczności pożerała drugą.

Nasz dziki spacerujący był małego wzrostu, czarną i brudną ręką wstrząsał pałkę, którą nazywano konstytucyą; jakkolwiek ręka wywijająca tą straszną bronią wydałaby się bardzo drobną każdemu, ktoby wobec tej dziwnej osoby zapragnął odgrywać rolę inkwizytora, ale nikt nieśmiał kontrolować w niczem człowieka tak strasznej postaci.

W rzeczy samej, tak ubrany ów człowiek z pałką, niemałą nabawiał niespokojnością grupy pokątnych pisarzy, rozprawiających o publicznej sprawie, która w owej epoce coraz bardziej zaczynała pogorszać się lub poprawiać, w miarę, jak rozbierano kwestyę z punktu widzenia konserwacyjnego lub rewolucyjnego.

Ci poczciwi ludziska z pod oka przypatrywali się jego długiej czarnej brodzie, jego zielonawemu oku, osadzonemu pomiędzy gęstemi, jak dwie szczotki brwiami, i drżeli w miarę, jak przechadzający się po sali groźny patryota, zbliżał się ku nim.

Przyczyna tej trwogi pochodziła stąd, że ilekroć zanadto się do niego przybliżyli, lub za bacznie nań spojrzeli, zawsze ten człowiek uderzał swą ciężką bronią o posadzkę i z kamieni jej wydobywał dźwięk już to suchy i głuchy, już głośny i dźwięczny.

Lecz nietylko poczciwi pokątni pisarze, znani zwykle pod nazwą pałacowych szczurów, ulegali tak wielkiemu uwięzieniu, ale podzielały je także i inne rozmaite indywidua wchodzące do sali straconych kroków, albo przez jej drzwi szerokie, albo przez którą z jej wązkich szyi, indywidua te szybko oddalały się, spostrzegłszy człowieka z pałką, który, jakby na przekorę wszystkim, chodził od jednego końca sali do drugiego, znajdując co chwila pretekst do uderzenia o posadzkę.

Gdyby pisarze nie tyle byli zajęci, a przechodnie więcej jasnowidzący, byliby się niezawodnie przekonali, że nasz patryota, podobnie jak wszyscy oryginalni lub nadzwyczajni, zdawał się niektórym taflom posadzki oddawać pierwszeństwo, mianowicie zaś przyległym prawej stronie ściany i środkowym, które też wydawały dźwięk czystszy i głośniejszy.

Co większa, człowiek ten skoncentrował nareszcie gniew swój na kilku taflach środkowych. Na chwilę nawet zapomniał się do tego stopnia, że zmierzył okiem coś na kształt odległości. Atoli to zapomnienie trwało zbyt krótko, bo natychmiast spojrzenie jego tracąc swą przelotną radość przybrało dawny wyraz.

Jednocześnie prawie drugi patryota (w owej epoce opinia każdego wyryta była na jego czole a raczej sukniach) wszedł drzwiami od galeryi, i nie zdając się bynajmniej podzielać powszechnego wrażenia trwogi, jaką napawał wyżej wspomniany, wymierzył swój krok tak dokładnie, iż obaj spotkali się prawie w połowie sali.

Nowoprzybyły podobnie jak i pierwszy miał futrzaną czapkę, siwą kapotę, ręce brudne i pałkę, ale prócz tego u boku wisiała mu wielka szabla, bijąca go po łytkach; tem zaś większe rozsiewał przerażenie aniżeli pierwszy, że o ile tamten był groźnym o tyle ten wyglądał chytrym, nienawistnym i nikczemnym.

A tak, chociaż obaj zdawali się popierać jednę sprawę i podzielać jedno zdanie, obecni jednak ośmielili się spojrzeć na nich i oczekiwać skutku, już nie ich spotkania, gdyż nie szli zupełnie w jednym kierunku, ale ich wzajemnego zbliżenia się.

Za pierwszym razem oczekiwanie ich spełzło na niczem, bo dwaj patryoci poprzestali na zmianie spojrzenia, a niższy z nich lekko pobladł; atoli mimowolne drganie ust jego przekonywało, iż bladość ta nie pochodziła z uczucia obawy, ale z uczucia odrazy.

Mimo to, gdy się powtórnie spotkali, pierwszy patryota niby gwałtowne uczynił na sobie wysilenie, twarz jego dotąd tak ponura wypogodziła się, coś niby uśmiech przymilenia przebiegło po jego ustach i skierował się nieco w lewo, widocznie dla zatrzymania drugiego patryoty.

Zeszli się prawie na środku sali.

— Ah! wszak to obywatel Simon! — rzekł pierwszy.

— On sam! ale cóż chcesz od obywatela Simona? i kto jesteś?

— Nie udawajże przecież, że mię nie znasz?

— Jakże cię mam znać, kiedym cię nigdy nie widział.

— No, no! nie poznajesz tego, który miał zaszczyt obnosić głowę księżny Lamballe?

Te wyrazy, z głuchą wściekłością wymówione, pałająco wybiegły z ust patryoty w opończy. Simon zadrżał.

— Ty! — rzekł — ty?

— I cóż! czy cię to dziwi... Ah! obywatelu, sądziłem, że lepiej się znasz na przyjaciołach, na wiernych. Bardzo mi to przykro.

— To coś uczynił było bardzo dobre, ale ja cię nie znałem — rzekł Simon.

— Korzystniej jest być stróżem małego Kapeta, bo można być więcej widzialnym i dlatego ja znam cię i szanuję.

— Dziękuję.

— Niema za co. A więc przechadzasz się?

— Tak jest, czekam tu na kogoś, a ty?

— I ja także.

— Jakże się nazywasz? wspomnę o tobie w klubie.

— Nazywam się Teodor.

— A więcej?

— Więcej nic, albož nie dosyć?

— O! aż nadto. Na kogoż więc czekasz tu, obywatelu Teodorze?

— Na przyjaciela, któremu mam uczynić pewne małe odkrycie.

— Doprawdy, powiedz mi to.

— Odkrycie to dotyczy pewnego plemienia arystokratów!

— Którzy się nazywają?

— Nie, nie, doprawdy, to tylko przyjacielowi mojemu wyznać mogę.

— Źle czynisz, bo oto mój zbliża się ku nam, a jak sądzę, zna dokładnie procedurę i potrafiłby zaraz urządzić twój interes, hę! i cóż ty na to?

— Fouquier-Tinville! — zawołał pierwszy patryota.

— On sam, kochany przyjacielu.

— A no! to dobrze.

— Zapewne, że dobrze. Dzień dobry obywatelu Fouquier.

Fouquier-Tinville, blady, spokojny i według zwyczaju mrugający czarnemi oczami, wyglądającemi z głębi gęstych brwi, wszedł przez boczne drzwi sali, niosąc w ręku rejestr, a pod pachą pliki papierów.

— Dzień dobry Simonie — rzekł — i cóż tam nowego?

— Bardzo wiele; naprzód obywatel Teodor, który niósł głowę księżny Lamballe, ma czynić jakieś odkrycie. Przedstawiam ci go.

Fouquier żywo i badawczo spojrzał na patryotę, który zmięszał się mimo całej swej odwagi.

— Teodor — rzekł — któż to jest ten Teodor?

— Ja — rzekł człowiek w opończy.

— Ty! ty obnosiłeś głowę księżny Lamballe? — rzekł publiczny oskarżyciel z miną bardzo powątpiewającą.

— Tak jest, ja, po ulicy świętego Antoniego.

— Ależ ja znam dobrze człowieka, który się tem chlubi — powiedział Fouquier.

— Ja znam dziesięciu takich — odważnie odparł obywatel Teodor — ale ponieważ oni zawsze występują z jakiemiś żądaniami, ja zaś nie żądam nic, spodziewam się przeto mieć pierwszeństwo.

Ten wybieg rozśmieszył Simona i wypogodził czoło Fouquiera.

— Masz słuszność — rzekł on — chociaż nie żądałeś, toś żądać był powinien. Zostaw nas, proszę cię, obywatelu; Simon ma mi coś powiedzieć.

Teodor oddalił się bynajmniej nie obrażony szczerością obywatela oskarżyciela publicznego.

— Czekaj-że chwilkę — zawołał Simon — nie odprawiaj go z niczem, a wysłuchaj odkrycia, z którem do ciebie przybywa.

— Ah! — z roztargnieniem zawołał Fouquier-Tinville — odkrycie, denuncyacya?

— Tak o jednem plemieniu — rzekł Simon.

— I owszem, mów o cóż to chodzi?

— O! to prawie bagatelka, chodzi tu o obywatela Maison-Rouge i kilku jego przyjaciół — rzekł Teodor.

Fouquier skoczył jak oparzony, Simon wzniósł rękę w niebo.

— Doprawdy! — zawołali razem.

— Jak najprawdziwiej, czy chcecie schwycić ich wszystkich razem?

— Nawet natychmiast, gdzież oni są?

— Spotkałem obywatela Maison-Rouge przy ulicy Grande-Truanderie.

— Mylisz się, jego niema w Paryżu — odparł Fouquier.

— Widziałem go, powiadam.

— To niepodobna, stu ludzi w pogoń za nim wyprawiono, on by nie śmiał pokazywać się na ulicach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

**Niniejszy numer jest <u>ostatnim</u> w bieżącym kwartale. Kto niechce doznać przerwy w odbiorze numerów, niech jak najrychlej odnowi przedpłatę na poczcie.**

**Conan Doyle.**

# Przygody brygadyera Gerarda.

## Powieść z czasów napoleońskich.

(Ciąg dalszy).

Rozejrzałem się za jakiemś wyjściem i niespostrzeżenie poruszyłem głową; aczkolwiek uczyniłem to bardzo ostrożnie, to przecież ruch ten spostrzeżono.

— Chodź pan! Obudź się pan! Obudź się pan! — zawołał klucznik.

— Wstawaj mały Francuziku! — mruknął gondolier. — Marsz! Wstawaj! — a do tego drugiego wezwania dodał bardzo bolesne kopnięcie nogą.

Jeszcze nigdy żaden człowiek nie wypełnił tak szybko rozkazu, jak go wówczas wypełniłem, panowie! W jednej chwili zerwałem się na obie nogi i zacząłem uciekać w tył. Pędzili za mną, jak psy gończe za lisem; skręciłem na lewo w jakiś korytarz, potem jeszcze raz na lewo i znalazłem się znowu w tem samem miejscu, skąd się wyrwałem.

Już mnie chwytali prawie, nie miałem czasu do namysłu, wbiegłem na schody, ale schodziło właśnie dwóch mężczyzn naprzeciwko mnie, zawróciłem i rzuciłem się ku drzwiom, przez które mnie przetransportowano, ale nie mogłem odsunąć ciężkich zasuw.

Gondolier rzucił się na mnie ze sztyletem, ale dałem mu takiego kopniaku w brzuch, że padł na ziemię, a sztylet wypadł mu z rąk. Nie miałem czasu go podnieść, gdyż obsiadło mnie już pół tuzina tych włoskich psów.

Gdy wymykałem się między nimi, podstawił mi klucznik nogę, wywaliłem się więc na ziemię, powstałem jednak z szybkością błyskawicy, przerżnąłem się przez nich, wyrwałem się z ich rąk i rzuciłem się na drzwi, znajdujące się na drugim końcu podziemia. Dopadłem ich w sam czas, wydałem okrzyk tryumfu, gdy nacisnąłem na klamkę, a one się otworzyły. Byłem uratowany! Zapomniałem jednak, w jakiem szczególnem znajduję się mieście.

Każdy dom jest wyspą.

Gdy otworzyłem drzwi i chciałem wypaść na ulicę, spostrzegłem w świetle z korytarza przed sobą cichą, czarną wodę, sięgającą aż do najwyższego stopnia. Cofnąłem się przerażony, a moi prześladowcy znaleźli się tuż przy mnie. Nie tak łatwo jednak schwytać mnie, panowie!

Znowu przy pomocy kułaków i kopniaków zdobyłem sobie drogę, aczkolwiek pęk włosów musiałem zostawić w ręku jednego z tych drabów.

Mały dozorca walił mnie kluczami, szarpano mnie i darto w kawały, ale się przecież wydobyłem.

Wpadłem znowu na schody, wywaliłem na górze jakieś wielkie drzwi, które mi zagradzały drogę, i przekonałem się w końcu, że wszystkie moje usiłowania były daremne.

Komnata, do której wpadłem, była wspaniale oświetlona. Potężne kolumny ze złoconymi kapitelami, pomalowane ściany i sufit — wszystko przemawiało za tem, iż znajduję się w wielkiej sali jakiegoś słynnego pałacu weneckiego.

W tem szczególnem mieście znajduje się setkami takich pałaców, z których każdy zawiera w sobie sale, mogące się mierzyć z Louvrem lub Wersalem.

W środku tej wielkiej sali znajdowało się wzniesienie, na którem w półkolu dokoła jakiegoś ołtarza siedziało dwunastu mężów w czarnych togach i czarnych zawojach na głowach.

Oddział zbrojnych — drabów z pod ciemnej gwiazdy — stał przy drzwiach, a wśród niego młody człowiek, z wzrokiem, utkwionym w ołtarz, młodzieniec w uniformie naszej lekkiej piechoty.

Odwrócił się ku mnie — poznałem go natychmiast.

Był to kapitan Auret z siódmego pułku, młody Baskijczyk, z którym podczas tej zimy wypiłem niejedną szklankę wina, lepszego, jak to, panowie!

Był blady jak ściana, ale trzymał się dzielnie wobec otaczających go zbójów.

Nie zapomnę nigdy tego wzroku, pełnego nadziei, który zabłysnął w jego ciemnych oczach, gdy ujrzał wpadającego towarzysza broni, ale także i tego spojrzenia rozpaczy, skoro zauważył, że nie przyszedłem po to, aby zmieniać jego los, ale jedynie po to, aby go podzielić.

Możecie sobie, panowie, wyobrazić, jakie zdumienie owładnęło tymi ludźmi, gdy stanąłem przed nimi niepowołany na rozprawę. Moi prześladowcy wtargnęli za mną i stanęli przy drzwiach, tak, iż o ucieczce nie mogło już być mowy.

W takich chwilach moja naturalna odwaga i zuchwałość przychodzą zawsze w pomoc. Mundur mój był coprawda trochę poszarpany, ale we wzroku moim i w mojej postawie spoczywało coś, po czem sędziowie natychmiast poznali, że nie mają do czynienia ze zwykłym śmiertelnikiem

Nie podniosła się na mnie żadna ręka, aby mnie aresztować. Zatrzymałem się przed jakimś strasznym staruchem, po którego długiej, siwej brodzie i pełnem majestatu zachowania się poznałem, iż ze względu na swój wiek i postawę jest tu najzacniejszym.

— Panie — rzekłem do niego — może mi pan da wyjaśnienie, dlaczego przywieziono mnie tutaj skrępowanego? Jestem honorowym żołnierzem, tak samo, jak i pan zapewne jesteś człowiekiem honoru, dlatego też wzywam pana, abyś nas natychmiast obydwóch uwolnił.

Po tem przemówieniu nastąpiło głębokie milczenie.

Nieprzyjemna to rzecz, panowie, gdy się widzi przed sobą dwanaście zamaskowanych twarzy, a z poza tych masek wygląda dwa razy tyle mściwych włoskich oczu.

Ale stałem przed nimi, jak przystało na prawdziwego żołnierza, a myślałem tylko o tem, jaki zaszczyt przyniosę moim huzarom przez moje zachowanie się. Nie sądzę, aby ktoś w tak trudnych okolicznościach mógł się zachować lepiej i z większą godnością. Bez strachu spoglądałem mordercom jednemu po drugim prosto w same ślepie i czekałem na odpowiedź.

Wreszcie stary przerwał milczenie i zapytał:

— Kto jest ten człowiek?

— Nazwisko jego brzmi Gerard — odparł klucznik.

— Pułkownik Gerard — dodałem. — Nie chcę, abyście mieli jakąkolwiek wątpliwość co do mej osoby. Jestem Stefan Gerard, ten sam pułkownik Gerard, którego w sprawozdaniach z pola bitwy wymieniano zaszczytnie pięć razy i który otrzymał szablę honorową. Jestem adjutantem generała Sucheta i żądam razem z moim towarzyszem broni, tutaj obecnym, natychmiastowego uwolnienia.

Nastała taka sama straszna cisza, jak przedtem, a tych samych dwanaście par ócz skierowało się na mnie.

I znowu odezwał się stary:

— Jeszcze nie przyszła na niego kolej. W naszym spisie znajdują się przed nim jeszcze dwa nazwiska.

— Niech zaczeka, dopóki na niego kolej nie przyjdzie. Zaprowadźcie go na dół do drewnianej celi.

— A jeżeli nam się będzie opierał ekscelencyo?

— W takim razie wpakujcie w niego swoje sztylety. Trybunał was uwolni. Precz z nim dopóki się nie załatwimy z tym tutaj!

Przystąpili do mnie. Przez chwilę zastanawiałem się nad oporem. Ale ktoby to poświadczył? Ktoby o tem doniósł? Los mój mogłem tylko odwlec, ale przebyłem już tyle, iż nauczyłem się mieć nadzieję i ufać mej szczęśliwej gwieździe.

Pozwoliłem się schwytać tym łotrem, którzy mnie wyprowadzili. Gondolier ze sztyletem szedł obok mnie. Widziałem po jego dzikim wzroku, że z wielkiem zadowoleniem byłby ten sztylet utopił w mojem sercu, gdyby tylko po temu nadarzyła się sposobność.

Dziwne to są gmachy, panowie, te pałace weneckie: domy, twierdze i więzienia, a wszystko w jednym budynku.

Przeprowadzono mnie przez kurytarz i jakieś kamienne, strome schody w dół, aż wreszcie dotarliśmy znowu do jakiegoś małego kurytarza, gdzie znajdowało się troje drzwi. Wepchnięto mnie przez jedne z nich, poczem zatrzaśnięto zamek. Przez wązki otwór we drzwiach wpadało mdłe światło z kurytarza.

Oczami i rękami zacząłem badać moje pomieszczenie. Po tem, co usłyszałem, wydawało mi się, iż nie będę czekał długo, lecz prędko stanę znów przed trybunałem; ale nie jestem przecież człowiekiem, który opuszcza lada jakąś sposobność.

Podłoga mego więzienia była tak wilgotna, a ściany na kilka stóp w górę tak mokre, że nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż cela ta znajdowała się pod powierzchnią wody. Mały otwór tuż przy suficie był jedynym, przez który przedostawało się światło i powietrze. Widziałem przez niego, że spogląda na mnie jakaś gwiazda, a to mnie napawało otuchą i nadzieją.

Nie byłem nigdy człowiekiem bardzo religijnym, aczkolwiek zawsze szanowałem tych, którzy nimi byli, ale przypominam sobie, że tej nocy owa gwiazda wydała mi się jakiemś wszechwidzącem okiem, które na mnie spogląda, i posiadam to samo uczucie, które owłada młodym, trwożliwym rekrutem, gdy widzi i czuje na sobie spokojny i pewny wzrok swego pułkownika.

Trzy ściany mej celi były z kamienia, ale czwarta była drewniana, a mogłem zauważyć, iż ustawiono ją dopiero niedawno.

Była to najwidoczniej tylko przegroda, aby większą celę przedzielić na dwie mniejsze. W starych murach kamiennych, w małym otworze okienka i w silnych drzwiach nie mogłem naturalnie pokładać żadnej nadziei. W grę mogła tylko wchodzić owa drewniana ściana.

Ale zdrowy rozsądek powiadał mi, że gdybym się przez nią przedostał — a to nie wydawałoby mi się zbyt trudnem — znalazbym się w drugiej tak samo zabezpieczonej celi, jak ta, w której się właśnie znajdowałem.

W każdym razie uważałem za stosowne robić coś, aby przynajmniej nie siedzieć bezczynnie i czekać.

Całą moją siłę i energię wytężyłem na ową drewnianą ścianę.

Dwie deski były jakoś źle spojone i tak lekko przybite, że można je było z pewnością bardzo łatwo odjąć. Zacząłem szukać jakiegoś przyrządu i znalazłem go w postaci nogi od łóżka, które stało w kącie. Wdusiłem więc tę nogę między obie deski i miałem je właśnie odłamać, gdy usłyszałem jakieś szybkie kroki. Przestałem i zacząłem nadsłuchiwać. Pragnę, abym mógł zapomnieć o tem, co usłyszałem. Widziałem wiele bitew i sam zabiłem więcej ludzi, niżbym się chciał do tego przyznać, ale tu chodziło o uczciwą walkę i było to zresztą moim obowiązkiem żołnierza. Ale co innego jest, gdy się słyszy, iż kogoś mordują w takiej jaskini łotrów.

Ciągnęli kogoś przez korytarz, kogoś, który się broni i w przejściu chwyta się moich drzwi.

Widocznie zapakowali go do trzeciej celi, najwięcej oddalonej od mojej.

— Pomocy! Pomocy! Gerard! Pułkowniku Gerard!

Był to mój biedny kapitan piechoty, którego mordowano.

— Mordercy! Mordercy! — ryknąłem i zacząłem dziko walić we drzwi, ale jeszcze raz tylko usłyszałem jego głos, a potem wszystko ucichło.

Po chwili usłyszałem jakiś plusk i doszedłem do przekonania, że mojego biednego kapitana już żadne ludzkie oko więcej oglądać nie będzie. Poszedł tą samą drogą, którą poszło przed nim tylu innych tej zimy w Wenecyi; ani jeden z nich nie mógł się stawić do apelu przy pułku.

Siepacze powrócili i sądziłem, że teraz kolej przyjdzie na mnie.

Zamiast tego otworzyli drzwi przyległej celi i wyciągnęli z niej kogoś. Słyszałem, jak udali się po schodach na górę.

Zabrałem się natychmiast do pracy. Po kilku chwilach rozluźniłem kilka desek o tyle, że mogłem je przesuwać do woli.

Gdy przelazłem przez otwór, spostrzegłem, iż była to druga połowa celi. Jak przypuszczałem, nie posiadałem żadnych widoków ucieczki, gdyż dalej nie było żadnych drewnianych ścian, a drzwi były zamknięte.

Nie mogłem wykryć, kto był tym nieszczęśliwym towarzyszem mojej niedoli. Wróciłem zatem do mojej celi i zasunąłem deski. Z pogardą śmierci oczekiwałem teraz, co nastąpi.

Nudziło mi się, czas przeciągał się w nieskończoność, możecie mi wierzyć, panowie; nareszcie jednak usłyszałem znowu kroki i byłem przygotowany na to, że będę ponownie słuchaczem dokonywanego mordu, że znowu usłyszę krzyki jakiejś nieszczęśliwej ofiary.

Ale nie stało się nic podobnego; jakiegoś więźnia wprowadzono spokojnie do przyległej celi. Nie miałem czasu zajrzeć przez otwór, ktoby to był taki, gdyż w tej chwili otworzono moje drzwi, a przez nie wszedł mój gondolier, za którym ukazała się reszta zbójów.

— Chodź, Francuziku — odezwał się do mnie, trzymając w włochatej ręce zakrwawiony sztylet. Widziałem w jego wściekłym wzroku, iż czycha tylko na sposobność, aby mi go wepchnąć w serce.

Opór był tu daremnym. Poszedłem za nim, nie mówiąc ani słowa.

Poprowadzono mnie znowu po schodach na górę i znowu do tej samej sali, w której ów krwawy sąd odbywał swoje posiedzenia.

Gdy wszedłem, sędziowie dziwnie jakoś nie zwracali na mnie uwagi, ale ich spojrzenia skierowały się na jednego z nich. Był to wysmukły młodzieniec o ciemnej cerze, stał przed nimi i coś im tłómaczył. Drżał ze wzruszenia i składał błagalnie ręce.

— Nie możecie! Nie wolno wam! — wołał. — Proszę trybunał o cofnięcie swej uchwały!

— Stań na boku bracie — rzekł stary, który przewodniczył. — Rzecz jest postanowiona, a teraz mamy sądzić następną.

— Na miłość Boga, bądźcie litościwi! — zawołał młodzieniec.

— Byliśmy już litościwi — odparł stary. — Śmierć byłaby najłagodniejszą karą za takie przestępstwo. Bądź odważny i pozwól sprawiedliwości dążyć swoją drogą.

Z dziką boleścią padł młodzieniec na krzesło.

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad przyczyną złości młodzieńca, gdyż jedenastu jego kolegów zwróciło już na mnie swe surowe oczy. Wybiła moja ostatnia godzina.

— Pan jesteś pułkownikiem Gerardem? — dał się słyszeć straszny głos starego.

— Ja nim jestem!

— Adjutant rozbójnika, który się nazywa generałem Suchet, który znowu zastępuje tego arcyrozbójnika Bonapartego?

Już miałem mu powiedzieć, że jest arcyłotrem i arcykłamcą, ale, panowie, są w życiu człowieka chwile, w których się trzeba bronić, i są chwile, w których siedzieć trzeba cicho jak mysz pod miotłą.

Odpowiedziałem więc tylko:

— Jestem honorowym żołnierzem, słuchałem dawanych mi rozkazów i spełniałem swoje obowiązki.

Staremu uderzyła krew do głowy, a ślepia zaświeciły mu się, jak dwa węgle.

— Złodziejami jesteście i mordercami, jeden w drugiego! — zawołał. — Czego tutaj chcecie?! Jesteście Francuzami. Dlaczego nie pozostaliście we Francyi? Czy prosiliśmy was może, abyście przybyli do Wenecyi? Jakim prawem znajdujecie się tutaj? Gdzie są nasze obrazy? Gdzie są te konie z św. Marka? Kim wy jesteście, wy, którzy kradniecie skarby, zebrane przez naszych przodków w ciągu tylu stuleci? Byliśmy potężnem miastem już wówszas, gdy Francya była jeszcze pustynią. Wy, zapita, hałaśliwa, brutalna hołoto żołnierska, zniszczyliście dzieła naszych świętych i bohaterów! Co pan masz na to do powiedzenia?

Panowie, strasznem naprawdę zjawiskiem był ten stary. Broda mu się najeżyła z wściekłości, a wyrzucał z siebie te krótkie wyrazy, jak pies, który czuje przed sobą groźnego wroga.

Chciałem mu powiedzieć, iż jego obrazy są doskonale przechowane w Paryżu i krzywda im się nie dzieje, że jego konie nie są warte, aby robić o nie tyle hałasu, że może jeszcze widzieć bohaterów — o świętych nie chciałem już wspominać — nie mówiąc już o jego sławnych przodkach, ale... na co byłoby się to przydało?

Rozmawiać z nim o tem wszystkiem, znaczyłoby tyle, co kretowi opowiadać o życiu nad ziemią. Wzruszyłem więc tylko ramionami i nie odpowiedziałem nic.

— Więzień nie usprawiedliwia się wcale — rzekł jeden z zamaskowanych sędziów.

— Czy zanim wyrok zostanie wydany, prosi kto jeszcze o głos? — zapytał stary i rozejrzał się dokoła.

— Jedno tylko chciałem zauważyć ekscelencyo — odezwał się ktoś. — Niestety, będę musiał otworzyć na nowo ranę jednego z naszych braci, ale proszę uwzględnić, iż w tym wypadku z tym oficerem kara dla przykładu i to surowa powinna być w całej swej bezwzględności zastosowana.

— Myślałem już o tem — odparł stary. — Bracie, jeżeli cię trybunał w czem dotknął, to z drugiej strony da ci daleko idące zadosyćuczynienie.

Młody człowiek, który w czasie mego wejścia do sali przedstawiał coś swoim kolegom, zerwał się z miejsca.

— Nie mogę tego znieść — zawołał. — Wasza ekscelencya musi mi wybaczyć. Sąd może się odbyć i bez mojej obecności. Jestem chory, tracę zmysły!

Wymachiwał rękami w powietrzu, a potem wypadł z sali.

— Niech idzie! Niech idzie! — rzekł prezydent. — To rzeczywiście więcej, niż można wymagać od człowieka z krwi i kości, aby pozostał pod tym dachem. Jestto jednak wierny Wenecyanin, a gdy pierwszy ból się uśmierzy, przekona się, że istotnie inaczej być nie mogło.

W czasie tego zajścia zapomniano o mnie, a aczkolwiek, panowie, nie lubię, aby na mnie nie zwracano uwagi, byłbym wolał wtedy, aby zupełnie o mnie zapomnieli. Ale zaraz spojrzał na mnie stary. prezydent, jak tygrys na swój łup.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

**B. BOLESŁAWITĘ.**

(Ciąg dalszy.)

Pierwszych dni października (3) rozpoczęto bombardowanie, które trwało dni pięć bez ustanku i miasto obróciło w perzynę, ale Anglicy trzymali się w twierdzy uparcie...

D'Estaing, który się zrazu spodziewał, że oblężenie trwać nie będzie długo, lękając się w powrocie burz jesiennych, gdy i okręta jego stały nieosłonione na morzu, i spóźniona pora zagrażała naglił o gwałtowniejsze kroki.

Choć więc podkopy ukończone nie były, a wyłamu w murach nie zrobiono żadnego, admirał żądał szturmu.

Lincoln się wahał, inni dowódzcy odziałów nie byli mu przeciwni, Pułaski z natury swej gorącej będący za pospiechem i działaniem stanowczem — sądził także, iż śmiały napad mógł się powieść.

Po upartem bombardowaniu, które zniszczyło miasto, domyślać się było można, że straty i szkody osłabiły odwagę oblężonych, i nadwerężyły mury; niespodziewany więc szturm mógł ją dać w ręce Amerykanom.

Napróżno Lincoln chciał jeszcze przeciągnąć oblężenie do ukończenia podkopów i min, któremi część murów wysadzić się spodziewał. — D'Estaing był niecierpliwy, pomoc Francyi i jej sztandar ważył na szali... Naówczas jeszcze Francya była tą sługą Bożą, której dzieje godziło się nazwać (Gesta Dei per Francos).

---

Pierwszego października, gdy się jeszcze ważyły rzeczy, a zdania co do szturmu były podzielone, wieczorem wszedł Pułaski do namiotu, w którym Rogowski i Karol spoczywali po całodziennym trudzie... W obozie panowały gorączki, umierali ochotnicy, smutne jakieś przeczucia zdawały się wisieć nad wojskiem znużonem; mimo wesołości ochoczej, niewyczerpanej, hałaśliwej, którą brzmiał sąsiedni kampament francuzki. — Pułaski wszedłszy jak roztargniony, usiadł nie mówiąc słowa. Karol i Rogowski, którzy znając go dobrze, z twarzy czytali uczucia, postrzegli w nim jakąś zmianę, był pogrążony i smutny.

Nie śmiano go pytać, bo w tem usposobieniu wolał milczeć, sądzono, że jakaś przekora w służbie, o którą było nie trudno, zniecierpliwić go musiała.

Karol musiał wyjść dla dopilnowania nocnych przygotowań jazdy. — Rogowski sam został z wodzem. Siedział tak długo, dając tylko znaki życia, nareszcie wstał, podszedł i nieśmiało się odezwał.

— Coś nam pan generał nie swój, miałożby co zajść niepomyślnego?

— Nie ma nic — rzekł Pułaski. Cóż być może, o czem byś nie wiedział.

— Trudno się domyśleć, ale to widzę, że coś panu kochanemu jest.

Pułaski wstał i kładnąc rękę na ramieniu Rogowskiego, jak był zwykł — szepnął cicho:

— Pamiętasz ty proroctwo ks. Marka?

— Nie wiem które.

— Gdy mi z błogosławieństwem oddawał szkaplerze.

Rogowski spojrzał przerażony.

— A cóż się stało?

— Wczoraj — musiał mi się sznurek przetrzeć i szkaplerze... no — gdzieś przepadły... Szukałem ich sam, drudzy także... jak nie ma tak nie ma... Rozumiesz ty co znaczy?

— Ale co znowu ma znaczyć — odpowiedział Rogowski — co ma znaczyć! Ks. Marek, święty człowiek, w uniesieniu czasem prorokował nie jasno... nie wyrozumiale.. Szkaplerze się znajdą.

Ciąg dalszy nastąpi).

# DZIAŁ KOBIECY.

## Dziecko w świetle hygieny.

Jak ochraniać dzieci przed chorobami zakaźnemi.

**Płonica** (szkarlatyna).

Płonica jest to choroba zakaźna, w wysokim stopniu zaraźliwa, od początku aż do samego końca choroby. Znaną jest ona oddawna, gdyż już w XII i XIII w., opisywano płonicę uważając ją za jedną z najniebezpieczniejszych chorób wysypkowych. Dokładna znajomość i opis choroby przybyły z Anglii, gdzie w XVI w. straszne epidemie trapiły mieszkańców, niemniej znane są też i opisywane epidemie w innych krajach, które pozwoliły dokładnie poznać tę chorobę, jedynie tylko mało podatnym krajem do rozwoju szkarlatyny okazała się Azya (w szczególności Indye) oraz Afryka.

Usposobienie do szkarlatyny jest większe u dzieci przeważnie do lat dziesięciu, mniejsze u dorosłych, chociaż i dorośli zachorować mogą na szarlatynę. Zarazek płonicy nie jest nam dotychczas znany, choroby tej nie zdołano dotychczas zaszczepić zwierzętom, jak to uczynić można w dyfterycie, wiadomą jednak jest rzeczą, że jest to choroba ogromnie zaraźliwa; w wydzielinach chorych na płonicę, udało się dotychczas znaleźć drobnoustrój t. zw. paciorkowiec ropny, specyalny drobnoustrój pojawiający się pod postacią kuleczek ułożonych jak paciorki. Dalsze badania posuwają się ciągle w tym kierunku, może więc wkrótce poznamy wroga, który tyle ofiar pochłania, a wtedy i łatwiej z nim walczyć będziemy mogli. Dotychczas stwierdzonem zostało, że zarazek płonicy znajduje się we wszystkich wydzielinach chorego, w łuskach (jak wiadomo po przebyciu tej choroby skóra łuszczy się) nawet w powietrzu otaczającem chorego, można się bowiem zarazić, oddychając powietrzem w pokoju chorego. Wreszcie zarazek znajduje się w rzeczach, zabawkach, sprzętach, których chory używał itp.

Czas upływający od zakażenia do wybuchu choroby, czyli t. zw. okres wylęgania, podają na 4 do 8 dni, niekiedy 7 do 24 godzin, niekiedy do 21 dni. Recydywa (t. j. powtórne zachorowanie, o ile już raz dziecko przebyło szkarlatynę), zdarza się rzadko, chociaż wykluczoną nie jest.

Tutaj jeszcze zaznaczyć należy o czem wreszcie mówiłam w poprzednich pogadankach, że gdy jedno dziecko dostaje szkarlatyny, reszta rodzeństwa może się zarazić lub nie, albo też zarażają się niektóre dzieci, zależy to od skłonności dzieci; fakt, że pozostałe dzieci szkarlatyny nie dostały, nie wyklucza bynajmniej jej zaraźliwości, błędnem byłoby takie mniemanie. Pozostałe dzieci nie dlatego nie zapadły na płonicę, że choroba zaraźliwą nie jest, lecz dlatego, że w danej chwili do przyjęcia zarazka nie miały skłonności — tak jest z każdą chorobą zakaźną nie tylko ze szkarlatyną; a ponieważ nigdy nie wiemy, czy dane zdrowe dziecko jest skłonnem do zarażenia się lub nie, przeto powinniśmy, o ile to jest tylko możliwem, odosobnić chore dziecko od zdrowych.

Ponieważ jednak zarazek płonicy zachowuje swoją żywotność i poza organizmem chorego (w rzeczach, mieszkaniu) — dlatego nie wystarcza odosobnienie, trzeba jeszcze zalecić dokładną dezynfekcyę.

Zważywszy, że zaraźliwem jest wszystko, co tylko miało styczność z chorem dzieckiem, jak również i same dziecko, zważywszy, że kwestya, gdzie właściwie znajduje się zarazek nie jest jeszcze rozstrzygniętą, należy wrazie zachorowania jednego z dzieci na szkarlatynę, postąpić jak następuje:

1. Usunąć chore dziecko lub zdrowe. Osoby trzecie nie powinny być łącznikiem pomiędzy chorem dzieckiem a odosobnionemi.

2. Wydzieliny z nosa i jadła należy zbierać na watę i palić; z plwociną, łuskami, bielizną itp. postępować jak przy ospie. Te same przepisy co i przy ospie obowiązują też osobę pielęgnującą chore dziecko.

3. Po ukończonej chorobie przeprowadzić dokładną dezynfekcyę pokoju chorego, mebli, sprzętów, naczyń; książki, zabawki spalić.

4. Do szkoły uczęszczać mogą dzieci odosobnione, zdrowe, po 3 ch tygodniach tj. gdy minie 21 dni uznane za maximum dla okresu wylęgania — jeżeli po upływie tego czasu zdrowe odosobnione dziecko nie zachorowało, to znaczy, że się nie zaraziło tym razem.

Te dzieci, które miały szkarlatynę mogą zacząć chodzić do szkoły po upływie 5-u tygodni, tj. po ukończeniu łuszczenia (o tem czy łuszczenie się skończyło, najlepiej poinformuje lekarz) wreszcie, nie wolno dziecku iść do szkoły o ile nie zostało wykąpanem i o ile nie została dokonana szczegółowa dezynfekcya rzerzy i pokoju.

Niechaj każda matka spełnia powyższe przepisy, a niewątpliwie przyczyni się do zmniejszenia epidemii, która niestety tylko przez nieostrożność i niedbalstwo otoczenia — częściej jeszcze przez nieświadomość — stale nas trapi i setki ofiar zabiera.

*Dr. med. Matylda Biehler.*

# Służba we Włoszech.

W rodzinach włoskich między chlebodawcami a służbą istnieją jeszcze patryarchalne stosunki i w niejednym domu można spotkać kucharkę lub pokojówkę, która kilkanaście lat już służy i jest szczerze do państwa przywiązana. Na pochwałę Włochów trzeba przyznać, że są dobrzy, względni i uprzejmi dla służby; nawet w wyższych sferach niema tej nieznośnej pychy, która każe uważać pracowników za bezduszne manekiny lub istoty niższego rzędu.

Włoska „*donna*“ jest wogóle zręczna, sprytna i łatwo uczy się gotować, chociaż ma trudniejsze niż gdzieindziej warunki; we Włoszech kuchnie angielskie są rzadkością, trzeba stawiać różne garneczki i rondelki przy otwartem ognisku i, jak za czasów Kaliguli, za pomocą wachlarza z piór rozniecać gasnący płomień. Wyobrażenia jej o czystości i porządku są bardzo pierwotne; pod względem pracowitości ustępuje Niemkom, Francuzkom i Angielkom, ale nikt też od niej nie wymaga, żeby od świtu do późnej nocy wciąż była czynna. Szorowanie lub froterowanie podług uważałaby za ubliżenie; na szczęście, we Włoszech jest to zbyteczne, gdyż kamienie i fajansowe posadzki nie potrzebują tego: Beppina lub Marietta posypie ją trocinami, skropi wodą lub naftą i dopóty macha szczotką owiniętą w ścierkę, dopóki podłoga nie będzie czysta i sucha. Nie przywiązuje wagi do tego, żeby naczynia kuchenne świeciły się zbytnio, dba jednak o to, żeby sama schludnie wyglądała. Przepada za dziećmi i troskliwie potrafi chorych pielęgnować.

Zasługi jej są niewielkie, ale w każdym sklepie dostaje przy zakupach pewien procent, jednem słowem „koszykowe“. Prowadzenie jej prawie zawsze jest wzorowe, gdyż w przeciwnym razie nie dostałaby męża; po zaręczynach *fidanzato* (narzeczony) bywa u niej, ale dziewczyna nie dopuszcza go do żadnej poufałości. W niedzielę po południu idzie z nim na przechadzkę, nigdy jednak nie mogą być sam na sam; zwyczaj wymaga, żeby towarzyszyła im jedna lub więcej osób. O zmroku służąca musi być w domu i spędza wieczory świąteczne na gawędce z koleżankami i robieniu szydełkowych koronek.

W rodzinach włoskich niższego stanu służąca wieczorem siada z państwem do stołu. W zamożniejszych domach chętnie biorą do służby małżeństwa: żonę jako kucharkę, męża jako lokaja lub woźnicę; dzieci ich wzrastają razem z dziećmi chlebodawców i później idą do nich w służbę. Jeżeli zdradzają większe zdolności, państwo własnym kosztem posyłają je do szkół.

Jeszcze kilkanaście lat temu donna umiejąca pisać była rzadkością; korespondencyę jej zwykle załatwiała pani domu lub panienka. Obecnie stan oświaty podniósł się we Włoszech i kucharki same potrafią pisywać listy miłosne.

W domach, gdzie pan jest wojskowym a zamożność niewielka, ordynans spełnia obowiązki kucharki, niańki i pokojówki, załatwia sprawunki i myje dzieci.

# Dom i kuchnia.

**Czekoladowa leguminka.**

Czekolady tartej ćwierć funta — tyleż kaszki gryczanej, 1 stołową łyżkę cukru, zmieszać i w pół litra gotującego mleka powoli sypać, 5 minut mieszając zagotować, odstawić i pianę z dwóch białek dodać czyli wmieszać, potem do w zimnej wodzie zmoczonej formy wyłożyć i kiedy ostygnie, na półmisek przewrócić.

Do powyższej czekoladowej leguminki dodaje się sos waniliowy, który również tanio sporządzić można i nabyć w składach krup w maleńkich kartonikach po 10 fen, opis na nich podany.

**Marmolada morelowa.**

Tylko bardzo dojrzały owoc jest zdatny na marmoladę. Morele przekrajać, a odrzuciwszy pestki, przetrzeć przez sito. Na funt masy przetartej wziąć pół funta cukru miałkiego, włożyć w rondel, kilka razy zagotować, mieszając, aby się marmolada nie przypaliła, potem ją włożyć do słoika i użyć w miarę potrzeby. Albo: morele w całości bez pestek kilka razy zagotować, potem przetrzeć przez sito i wymieszać z cukrem.

**Sposób wygładzenia zmarszczek.**

40 gram. taniny, 40 gram. ałunu i 240 gram. krochmalu ryżowego — rozpuszcza się w glicerynie najlepszego gatunku, oczyszczonej, i naciera się na noc miejsca, gdzie są zmarszczki. Przed natarciem i rano obmyć twarz przegotowaną ostudzoną wodą.

# :: HUMORYSTYKA ::

**Nie wyrozumiał.**

— Zatem jak się tatusiowi zdaje? zdecyduje się pan Bursztyn na jaki krok stanowczy? — zapytuje się córka ojca.

— A bo ja wiem. Zagadywał o wczorajszej kolacyi, na której mu tak gęsia pieczeń smakowała, wychwalał ją bardzo, alem nie wyrozumiał, czy chwalił, g ę ś, czy c i e b i e...

**U wójta.**

W ł o ś c i a n i n (żaląc się na sługę, która mu zbiegła z obowiązku): Panie wójcie! ta imotworz musi iść do mnie napowrót do służby, tylko ostro tupnąć i kwita!

W ó j t (flegmatycznie): Ale, tak! bede wom ostro tupoł, kiedy mom nogi słabe.

— Uważ, mój kochany, już rok cały używam „lowakrynu“, a wąsy mimo to tak powoli mi rosną.

— Bo masz za duży nos, więc od niego pada cień na wierzchnią wargę, i słońce nie ma należytego dostępu, aby cebulki włosowe należycie funkcyonowały...

Człek na jedno oko ślepy, więcej widzi niż ci, którzy patrzą dwoma, bo oni widzą dwoma jedno oko u niego, a on u nich jednem dwa.

**W szkole.**

— Urwiszu! co ty tam ciągle gnieciesz w tej łapie?

— Nic.

— Połóż to zaraz.

**W sądzie.**

— Tak silnie uderzyliście pięścią swą żonę w głowę, że jeszcze dziś ma oko niebieskie. Co macie na swoją obronę?

— Przez urazy wysokiego sądu, moja baba mo ocy bure, a mnie się podobają niebieskie.

**Właściciel realności jako mąż.**

— Szczęśliwy, panie Balsambaum! wczoraj podziwiałem pańską żonę na przedstawieniu w żywym obrazie, przedstawiającą królową baśni. Niech pana kule biją! jak ona jest ślicznie zbudowana...

— Pe! — szlicznie zbudowana! co warte taki szlyczno budowe, jak una co chwyla muszy sze na nowo malowacz, a na reperacye w kąpiele to ja muszę co roku widawacz draj hindert gilden!

Szczęście, że słonie nie zażywają tabaki, boby bardzo zdrożała, a wiadomo jakie mają nosy.

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o jak najrychlejsze nadsyłanie przedpłaty na kwartał przyszły do Administracyi „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. — Prenumerata wynosi rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal., kwartalnie 2 kor. 40 hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.